

Wias

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 12 marca 1950 r.

Nr 10 (241)

FRANCISZEK GRABOWSKI

REWOLUCJA KULTURALNA NA WSI

(CZYTELNICTWO PISM I KSIĄŻEK W MOJEJ GMINIE)



Poniżej drukujemy pracę, obrazującą powojenny rozwój czytelnictwa prasy i książek na 9 wsiach gminy Iwierzycy w rzeszowskim. Autorem jest młody, 24 letni, tamtejszy nauczyciel. Ten fakt zasługuje na uwagę. Autor pochodzi z tych stron. Jest synem najmiłszy wiejskiego, takim był los jego matki. W 1939 r. ukończył szkołę powszechną. W 1943 r. wywieziony został do Niemiec na roboty. Po powrocie w r. 1946 dostał się na 6 miesięczny kurs pedagogiczny. W roku następnym uczy już w gminie, która jest terenem jego opisu. W bieżącym roku będzie zdawał maturę. Jest członkiem partii. Obraz rozwoju czytelnictwa gazet i książek, jaki w chronologii lat w cyfrach ukazuje na terenie swojej gminy (oddalonej od miasta... w rzeszowskim) mówi wymownie o przemianie w życiu wsi, o przełomie

w świadomości społecznej i ideologicznej. W znużonej statystyce i ankietach młodego nauczyciela pulsuje nowe życie na wsi, wybucha z cyfr rewolucja kulturalna i w cyfrach się dokumentuje, niezaprzeczalnie, bezspornie. Młody nauczyciel ma świadomość ważności tego dowodu, ukazuje go od dotu, od terenu, ukazuje równocześnie jak bardzo sam tkwi w terenie jako działacz oświatowy. Piszcie w imieniu tysięcy chłopów jego gminy, dajcie temu nurtowi rewolucji kulturalnej świadectwo a nam ważny materiał dowodowy. Zapamiętajmy ostatnie zdanie z listu młodego nauczyciela: „Największą nagrodą będzie dla nas, jeżeli nasz głos z dalekiej wsi w sprawie rozwoju czytelnictwa na wsi będzie wzięty pod uwagę w realizacji tego rozwoju”.

REDAKCJA

Będę pisał na podstawie dokładnych badań i własnych doświadczeń na terenie wsi oddalonych od miasta, które posiada kino, teatr (Rzeszowa) o 23 km, od najbliższego miasteczka (Sędziszowa) o 10 km. Badania te oparte są na analizie i poznaniu czytelnictwa na terenie 9-ciu wsi, wchodzących w skład gminy Iwierzycy, pow. Debica.

Przed 1939 rokiem nie było na terenie tej gminy ani jednej stałej biblioteki, z której by masowo korzystano. Były jedynie biblioteki parafialne, które nie miały zbyt wielu czytelników. Wskutek takich warunków młodzież kończąc szkołę powszechną, w wielu wypadkach tylko kilka klas, ze słabą umiejętnością czytania i pisania, zaprzęgała się do ciężkiej pracy fizycznej. Młodzież ta nie miała czasu na czytanie książek ani czasopism, co powodowało duży przyrost wtórnych alfabetów. Inni pomimo chęci czytania i samokształcenia się nie mogli mieć odpowiednich książek a te, które czytali dawali wkrótce znużenie ze względu na bezwartościowość ich treści lub też ze względu na trudny styl i formę. Wielką popularnością cieszyły się romanse, powieści awanturnicze (z wydawn. groszowych) i inne im podobne o wartościach szkodliwych, często zatrutych psychikę, wzbudzające ciemne instynkty u młodzieży. I tak wg. badań na terenie 9-ciu wsi było 60 proc. wydawn. groszowych 25 proc. i innych książek 15 proc.

Największą popularnością cieszyły się dodatki do „Wielkopolski” a mianowicie tytuły jak: „Znachor”, „Napiętnowana” i inne. Również czytelnictwo gazet było znikome. Do chłopów biednych wyrobników, parobków gazeta nigdy nie doszła inaczej jak kiedy jakiś towar zakupiony w sklepie został w nią zawinięty. W okresie okupacji gniebił wieś niski poziom nauczania lub brak w ogóle tego nauczania w szkołach i zupełny brak książek o wartości przystosowanej do zainteresowań wsi. Okupant rzucił do czytania szmatławce jak „Goniec Kreskowski” czy pornograficzną „Fala”. Tak stała się przyczyną, że tylko wspólne działanie z robotnikami dało warunki do stworzenia lepszej rzeczywistości na wsi. Z zestawienia w miesiącu czerwiec 1949 roku wynika również że na ilość 5740 mieszkańców w 7-miu gromadach, które obsługuje agencja pocztowa w Wiercanach przypada 1224 pism. Łatwo obliczyć, że co piąty mieszkaniec (tzn. każda rodzina) prenumeruje gazetę. Ponadto na czterech wsiach istnieją „Kola Czytelników”, które otrzymują prasę ze Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”

ROK 1945 (w ciągu roku)
Tytuł pisma Ilość prenumerat.
Dziennik Polski 3
Gazeta Ludowa 7 P.S.L.
Znikoma ilość prenumeratorów prasy postępowej na 5740 mieszkańców.

ROK 1946 (w ciągu roku)
Tytuł pisma Ilość prenumerat.
Dziennik Polski 9
Zielony Sztandar 4
Gazeta Ludowa 9

ROK 1947
Tytuł pisma Ilość prenumerat.
Dziennik Polski 10
Zielony Sztandar 12
Gazeta Ludowa 7
Wolność 78

Już w 1947 r. widzimy nieznaczny wzrost czytelnictwa gazet.

W następnych latach w stosunku do 1945 i 1947 r. czytelnictwo prasy wzrosło niebywale.

Ilustruje to stan prenumeraty prasy w roku 1949 (w samym tylko miesiącu czerwiec, a więc nie najlepszy dla czytelnictwa porze):

Tytuł pisma Ilość prenumerat.
Dziennik Polski 15
Moda i Życie Prakt. 3
Świerszyk 172
Chłopi i Państwo 14
Kobieta Wiejska 65
Przyjaciółka 73
Gromada 383
Chłopska Droga 82
Trybuna Robotnicza 42
Nowiny Rzeszowskie 4
Rolnik Polski 60
Wolność 16
Gazeta Ludowa 8
Płomyk 120
Płomyczek 35
Iskierki 9

Broszury i pisma popularno naukowe 26

Z tego zestawienia widać podniesienie się czytelnictwa prasy w wielkim procencie w stosunku do czasów przedwojennych, jak też w stosunku do roku 1945, 1946, 1947.

Wzrost pism robotniczych świadczy o tym, że wzrasta świadomość ideologiczna chłopów — że tylko wspólne działanie z robotnikami dało warunki do stworzenia lepszej rzeczywistości na wsi. Z zestawienia w miesiącu czerwiec 1949 roku wynika również że na ilość 5740 mieszkańców w 7-miu gromadach, które obsługuje agencja pocztowa w Wiercanach przypada 1224 pism. Łatwo obliczyć, że co piąty mieszkaniec (tzn. każda rodzina) prenumeruje gazetę. Ponadto na czterech wsiach istnieją „Kola Czytelników”, które otrzymują prasę ze Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”

„Co należałoby zrobić aby czytelnictwo prasy rozpowszechniało się jeszcze bardziej na terenie wsi?”

- 1) Powołać i uaktywnić specjalne komitety propagandowe, które pracując wspólnie z pracownikami z poczty będą pomagały przy zjednywaniu prenumeratorów. Komitety te również winny pomagać w rozprowadzaniu prasy w danej gromadzie.
- 2) Uaktywnić szkoły aby przez nie można propagować czytelnictwo prasy na wsi.
- 3) Przyjąć z pomocą listonoszom wiejskim przez zaopatrzenie ich w buty gumowe na okres deszczów i błota. Wyposażyć w plecaki i peleryny nieprzemakalne.
- 4) Artykuły w prasie dla wsi winny być pisane w dostępnym prostym języku i prostej zrozumiałej formie. Czytelnictwo prasy niebawem wzrosło i stało się podstawą do podniesienia poziomu wsi z zaoferowania kulturalnego i ideowego spowodowanego przez ustrój kapitalistyczny. Pogłębianie tego procesu winno być podstawowym zadaniem działaczy terenowych.

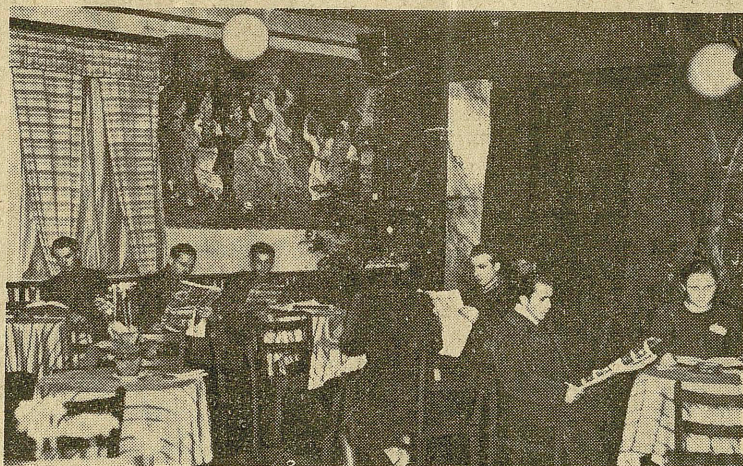
Drugą bazą rozwoju kulturalnego wsi jest czytelnictwo książek. Jeżeli gazeta będzie informatorem i wychowawcą, to książka będzie gruntowną szkołą życia i charakteru. Będzie cynikiem urabiającym duszę ludzką, będzie wskaźnikiem nowych dróg i nowych dążeń. Podstawy rozwoju czytelnictwa parostawione jako spójnica przez ustrój sanacyjny poznaliśmy już w wstępie. Na takich podstawach w Polsce Ludowej kiełkował rozwój czy-

telni wsi. Do roku 1949 czytelnictwo książek na wsi było oparte wyłącznie na bibliotekach szkolnych, parafialnych i małych bibliotekach organizacyjnych, mających książki często o nieodpowiednim doborze. Książki te w większości nie były dostosowane do zainteresowań wsi. Młodzież otrzymywała nie zawsze książki takie, któreby przyniosły korzyść. Najlepsze książki były rozchwytywane. Na podstawie ankiety w której brało udział 80 członków młodzieży na pytanie „Jaką książkę pamiętam którą przeczytałem w najdawniejszym czasie?” 14 przeczytało „Robinsona Kruzoa”, 20 „Antek”. Te dwa tytuły były w największej ilości czytane w terenie. Z innych utworów czytane były np. „Bitwa pod Raszynem”, „Północ pod poddaszem”, „Janko Muzykant”, „Mała Nel”, „Dolina bez wyjścia” i inne. Na 80 czytelników 33 pozycje. Największe zainteresowanie wśród młodzieży budziły utwory „W pustyni i w puszczy”, „Historia żółtej Ciemki”, „Chata Wujka Toma”, „Robinson Kruzoa”, „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. U starszych najbardziej były znane utwory Sienkiewicza. Największe zainteresowanie wzbudziły „Faraon”, „Za chlebem”, „Wierna Rzeką”, „Qvo Vadis”, „W pustyni i w puszczy”. Przełom w czytelnictwie na wsi zrobiło dopiero założenie biblioteki gminnej. Dopiero biblioteka gminna zaopatrzona w

odpowiedni dobór książek (przydzielonych z Minist. Oświaty) i przeszkolonego bibliotekarza postawiła czytelnictwo na takim poziomie, że może spełniać wielkie zadanie w Polsce Ludowej. Od tego czasu czytelnictwo na wsi nabiera właściwego charakteru, a mianowicie wychowuje w szczególności młodzież i urabia starszych, dostarcza materiałów fachowych i budzi zainteresowanie do czytelnictwa i do samokształcenia. Powiedzieliśmy już że w rozwoju czytelnictwa nie ma walki klasowej. Otóż walka klasowa przejawia się w tej dziedzinie nieraz w bardzo ostrej formie. Kiedy na posiedzeniu tutejszej Gminnej Rady Narodowej wniesiono projekt uchwały o założeniu gminnej biblioteki, to elementy rekrutujące się z bogatszych chłopów stanowczo się temu sprzeciwili.

Sprzeciw swój motywowali właśnie tym, że biblioteka pociągnie za sobą koszty, które grzmią bezdusznie. Były nawet głosy, że kto chce czytać niech sobie kupuje książki. Przewidywano uchwale dopiero na posiedzeniu Rady, na której liczba czynników wstecznych i opornych nie stawiała się w pełnym składzie. Po uroczystym otwarciu Gm. Biblioteki, po szerokiej propagandzie czytelnictwa, nie od razu jeszcze książki wzbudziły zainteresowanie. Powodem tego była reakcyjna propaganda i zaoferowanie kulturowe wsi budzącej się dopiero do nowego życia, jakie przyniosło Państwo Ludowe.

Pierwsza zdobyła zaufanie i zainteresowanie do biblioteki młodzież szkolna. Znalazła ona tam książki o jakich przedtem marzyła nie mogła. Książki kolorowe, książki piękne dla dzieci i młodzieży. Wzrost czytelnictwa



telni wsi. Do roku 1949 czytelnictwo książek na wsi było oparte wyłącznie na bibliotekach szkolnych, parafialnych i małych bibliotekach organizacyjnych, mających książki często o nieodpowiednim doborze. Książki te w większości nie były dostosowane do zainteresowań wsi. Młodzież otrzymywała nie zawsze książki takie, któreby przyniosły korzyść. Najlepsze książki były rozchwytywane. Na podstawie ankiety w której brało udział 80 członków młodzieży na pytanie „Jaką książkę pamiętam którą przeczytałem w najdawniejszym czasie?” 14 przeczytało „Robinsona Kruzoa”, 20 „Antek”. Te dwa tytuły były w największej ilości czytane w terenie. Z innych utworów czytane były np. „Bitwa pod Raszynem”, „Północ pod poddaszem”, „Janko Muzykant”, „Mała Nel”, „Dolina bez wyjścia” i inne. Na 80 czytelników 33 pozycje. Największe zainteresowanie wśród młodzieży budziły utwory „W pustyni i w puszczy”, „Historia żółtej Ciemki”, „Chata Wujka Toma”, „Robinson Kruzoa”, „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. U starszych najbardziej były znane utwory Sienkiewicza. Największe zainteresowanie wzbudziły „Faraon”, „Za chlebem”, „Wierna Rzeką”, „Qvo Vadis”, „W pustyni i w puszczy”. Przełom w czytelnictwie na wsi zrobiło dopiero założenie biblioteki gminnej. Dopiero biblioteka gminna zaopatrzona w

wśród młodzieży spowodował zainteresowanie i u starszych. Już w lutym 1949 roku w samej wypożyczalni przy gminnej bibliotece na ilość 239 książek było zapisanych 135 czytelników. W osmiu dniach otwarcia było wypożyczonych 441, w tym dla młodzieży 254, dla dorosłych 132, literatura popularno naukowa 55. Do dnia dzisiejszego czytelnictwo w Bibliotece Gminnej wzrasta niebywale. Wzrosło zaufanie czytelników, iż w tej bibliotece są książki dla wsi, jakich wieś nigdy nie posiadała. Dziś Biblioteka Gm. posiada oprócz własnej wypożyczalni 6 wzorowych punktów w 6-ciu wsiach. W 2-ch wsiach są punkty przydzielone z Powiatowej Biblioteki, czyli w każdej wsi już jest biblioteka posiadająca wartościowe książki, które po przeczytaniu wędrują do wymiany, na nowe w „Gminnej Bibliotece”. Stan czytelników z miesiąca września 1949 przedstawia się następująco. W Gm. Bibliotece (wypożyczalni) na ilość 355 książek jest 239 czytelników. W 6-ciu punktach bibliotecznych należących do Gm. Biblioteki na ogólną ilość 306 książek jest 250 czytelników. Ogólnie Gm. Biblioteka na ilość 8.135 mieszkańców mająca do dyspozycji 661 książek obsługuje 489 czytelników. Nic też dziwnego, że książek na półkach brak. Do 15 listopada 1949. roku szczegółowy stan czytelnictwa w bibliotece przedstawia się następująco:

	Ilość dni otwarcia	Książek w Bibliot.	Bibliot. oddziel. czyteln.	Wypoż. ogółem	Dla dzieci	Dla dorosłych	Liter. popularna naukowe
Czytelnia przy Gm. Bibliotece Wiercany	61	335	2771	2909	1854	790	275
W 6-ciu punktach bibliotecznych	248	306	1213	1156	539	531	86
R A Z E M	309	661	3984	4065	2383	1321	361

W NUMERZE

S. TREUGUIT — Nowy typ prasy
M. GRIBACZOW — Wiosna w kołchozie
E. BRODZIANKA — O popularną recenzję
J. BIENIEK — Pierwsze kroki
L. RUDNICKI — „Za granicą”
M. NIEWIAROWSKI — Historia jednego życia
S. MĘDELSKI — Obrona rewolucji



Z tego dokładnego zestawienia widać, że przez okres 10-cio miesięcznego istnienia Gm. Biblioteki, książka zabłądziła pod strzechy 4065 razy. Widać również z tego, że włoźne fundusze i nadzieje w tworzeniu gminnych bibliotek osiągnęły swój zasadniczy cel w rozpowszechnieniu czytelnictwa i podniesieniu kultury wsi. Założenie gminnych bibliotek to przełom w życiu kulturalnym nie spotykany w historii wsi polskiej. Stało się to dzięki polityce i trosce Rządu Polskiej Ludowej o podniesienie wsi z zaoferowania i ciemnoty. Cyfry te ilustrujące rozwój czytelnictwa na wsi powinny cieszyć każdego Polaka, gdyż takich gmin, takich wsi gdzie nie błądzą już książki, ale są stałym gościem pod strzechą wiejską są setki i tysiące. „Jakie były przyczyny takiego rozwoju Biblioteki Gm. obsługującej wieś?”

- 1) Odpowiedni dobór książek dostosowanych do potrzeb i zainteresowań wsi.
- 2) Sam zewnętrzny dobry wygląd książki.
- 3) Fachowa obsługa przez przeszkolonych bibliotekarzy.
- 4) Uspołecznienie bibliotekarzy i ich właściwy i przyjazny stosunek do czytelników.
- 5) Estetyczny urządzonej lokal biblioteczny.
- 6) Właściwa propaganda czytelnictwa.

Najważniejszą jednak przyczyną rozwoju czytelnictwa była przemiana samego czytelnika: stała podnoszenie się jego poziomu ideologicznego w miarę wzrostu świadomości klasowej i postępu oświaty i kultury na wsi.

Co należałoby zrobić żeby czytelnictwo objęło jeszcze szersze masy?

- 1) Dać więcej książek już oprawionych i wyposażonych w karty czytelnika i karty katalogowe (abyby w razie czego można wypisywać czy bibliotekarze nie mogą sobie dać rady z wypisywaniem kart).
- 2) Dać książki, wsi o odpowiednim doborze wg. zainteresowań, oisanych w prostej formie i stylu.
- 3) Przejść przez państwo biblioteki wszelkiego rodzaju, scentralizować kontrolę, wyposażyć w przeszkolonych i uspołecznionych bibliotekarzy.
- 4) Dostarczyć dużą ilość książek fachowych dla wsi i książek potrzebnych dla lektury szkolnej, z której korzystają będzie ucząca się młodzież wiejska.
- 5) Wyposażyć biblioteki i punkty biblioteczne w sprzęt biblioteczny.
- 6) Wydrukować i puścić na wieś odpowiednią ilość kolorowych afiszy propagujących czytelnictwo.
- 7) Zorganizować i objąć jak największe masy kołami dobrego i planowego czytania (w związku z tym tworzyć na terenach gmin kursy dla kierowników koła dobrego i planowego czytania).
- 8) Świetlice, winny na pierwszym miejscu postawić w swym programie wiedzę o książce i czytelnictwie.
- 9) W szkołach w założeniach wychowawczych wzbudzać zamiłowanie do czytelnictwa i umiejętnego korzystania z książki.
- 10) Urządzać wieczory literackie i autorskie na wsi.
- 11) Badać zainteresowanie czytelnictwa i czytelnictwo na terenie wsi i na tej podstawie opierać dalszy rozwój czytelnictwa.

Na podstawie ankiety przeprowadzonej wśród czytelników wiejskich na temat „Co trzeba zrobić aby podnieść czytelnictwo na wsi?” większość dała odpowiedź:

- 1) Mieć jak największy wybór książek w bibliotece, biblioteki winny być w dogodnych punktach dla każdego czytelnika.
- 2) Trzeba organizować świetlice i zaznajamiać ludzi co daje nam książka i jak tę książkę dla własnej korzyści należy czytać.
- 3) Na świetlicach przeprowadzać prasówki i prowadzić gazetki ścienne.
- 4) Trzeba dostarczyć wsi książek rolniczych, lekarskich, politycznych, historycznych i powieści, o wychowaniu dzieci itp. I wreszcie trzeba uświadamiać wieś o spójności produkcyjnej.

Przez przystąpienie do gospodarki spółdzielczej, chłop znajduje czas po pracy na czytanie książek i gazet, na branie udziału w zebraniach świetlicowych. Mówiliśmy przeważnie o bibliotece gminnej jako o czynniku który wywołał decydujący przełom w czytelnictwie książek na wsi. Należy dodać do liczby czytelników korzystających z gm. biblioteki ilość 110 czytelników w dwóch punktach bibliotecznych zorganizowanych przez bibliotekę powiatową. Pokażną ilość czytelników posiada na tym terenie istniejąca biblioteka parafialna, która w r. 1947 miała prawie same książki religijne w sumie 338 tomów, dzisiaj ta biblioteka liczy 602 książki w tym przeszło 150 książek z literatury pięknej. Biblioteka ta liczy obecnie 393 zapisanych czytelników o przeciętnej ilości wypożyczeń (na tydzień — niedziela) 40 książek. Dodając do tego przeszło 50 czytelników korzystających z biblioteki Z.S.Ch. stwierdzamy, że biblioteki Z.S.Ch. chociaż mają bardzo wartościowe pozycje literackie i fachowe, nie spełniają swojego zadania. Powodem tego jest brak opieki nad tymi książkami. Niefachowa obsługa (wypożyczają sklepowi którym brak na to czasu). Książki nie oprawione szybko się niszczą. Większą korzyścią byłoby by włączyć do bibliotek gminnych, bo tak w większości się zdarza.

Nie licząc w ogóle dużych już bibliotek w szkołach podstawowych, których jest 8 na terenie tej gminy, nie licząc dużych, bo liczących ponad 700 tomów biblioteki w średniej szkole rolniczej (książki te są wyłącznie czytane przez uczniów) przypada przeciętnie że co 9 mieszkańiec czyta książki. Jest to stan jeszcze niewystarczający, ale w stosunku do okresu przedwojennego jest to krok 7-mio milowy.

Ze współczesnej literatury polskiej najbardziej są czytane utwory Kruczkowskiego „Kordian i Cham”, „Pawie Pióra”, Rudnickiego „Stare i Nowe”, Andrejewskiego „Dziękuję ci, Papiolu”, Wasilewskiego „Pojazdy”, Kowalskiego „Dziękuję ci, Papiolu”. Bardzo wielką popularnością na wsi cieszy się literatura radziecka. Najbardziej czytana i rozchwytywana jest książka Szolochowa „Cichy Don” i Tolstoj „Anna Karenina”. Zławszeza „Cichy Don” zdobył sobie serca czytelników prostym ale barwnym językiem, zrozumiałą treścią i formą. Właśnie literatura radziecka jest literaturą realistyczną, którą potrzebuje polska wieś.

Franciszek Grabowski

STEFAN TREUGUTT

NOWY TYPPRASY

W grudniu 1900 roku ukazał się pierwszy numer leninowskiej gazety „Iskra”. Gazetę wydawano nielegalnie. Była ona pierwszą gazetą ogólnorosyjskiego marksistowskiego ruchu rewolucyjnego, przyczyniła się w znacznym stopniu do uaktywnienia i zjednoczenia socjaldemokracji rosyjskiej. 5 maja 1912 roku ukazała się po raz pierwszy „Prawda” — była ona już legalnym organem bolszewików. W ciągu dwóch lat pierwszego okresu swego istnienia była „Prawda” ośmiokrotnie przez władze carskie zamykana — na tydzień przed wybuchem wojny światowej zabroniono ostatecznie jej wydawania.

Podtytuł leninowski „Iskry” głosił: „Iskry wybuchu płomienia”. Ogromny wysiłek rewolucyjny mas ludowych byłego imperium rosyjskiego, wysiłek kierowany przez marksistowską partię i przez genialnych teoretyków i praktyków rewolucji, Lenina i Stalina, doprowadził do Rewolucji Październikowej. Rewolucja 1917 roku radykalnie zmieniła społeczny i polityczny charakter życia narodów carskiej Rosji. Powstało pierwsze na świecie państwo socjalistyczne — październik 1917 roku był gigantycznym krokiem naprzód w historycznym rozwoju ludzkości. Z iskry wybuchł płomień.

Początki marksistowskiej prasy w Rosji były trudne — carski reżim dawał każdą postępową myśl; słowo drukowane, mimo że większość mieszkańców imperium nie umiała czytać, było uważane za szczególnie niebezpieczne. Przewrót październikowy, jak i w innych dziedzinach życia społecznego, tak i w dziedzinie organizacji prasy stanowił moment przełomowy. Obecny poziom, zakres oddziaływania i charakter ideowy gazety i czasopisma radzieckiego stoją w ścisłym związku z nowym typem życia społecznego, jaki powstał w wyniku zwycięskiej rewolucji proletariatu w carskiej Rosji.

Toteż, by należycie ocenić istotne i zasadnicze dla prasy radzieckiej zagadnienia, należy się odwołać do tego, co stanowi największą zdobycz rewolucji 1917 roku.

„WŁASCICIEL” GAZETY

Po przewrocie październikowym zostały znacjonalizowane wszystkie obiekty wiekoprzemysłowe. Środki produkcji na całym terenie byłego imperium rosyjskiego przeszły w ręce mas pracujących. Znacjonalizowano naturalnie i cały przemysł poligraficzny, drukarnie, wydawnictwa papieru itp. Burżuazyjna prasa straciła na terenie Związku Radzieckiego bazę ekonomiczną.

Wraz z upadkiem burżuazyjnego systemu ekonomicznego znikły podstawy, na których opierała się przedrewolucyjna prasa rosyjska i dzięki którym rozwijała się ona zgodnie z interesami burżuazji i obszarników.

Prasa powstając po Rewolucji Październikowej zmieniła swego mocodawcę — i to bardzo radykalnie. Niemniej radykalnej przemianie uległ wskutek tego charakter i cele prasy. Jak już wspominaliśmy, pierwszym krokiem młodej władzy radzieckiej była nacjonalizacja wielkiej własności prywatnej. Dotychczasowi posiadacze gazet rosyjskich, taki bankier Rjabuszinski, właściciel pisma „Utro Rossii”, czy wielki kupiec a potem wydawca moskiewski Sytin, właściciel „Russkogo Słowa”, milioner Bak, a przede wszystkim największy posiadacz prywatny w Rosji — car i finansowany przez eksploatującą Rosję zagraniczny kapitał rząd carski — ci wszyscy stracili ekonomiczne i polityczne możliwości wydawania prasy codziennej i periodycznej. Kto stał się „właścicielem” prasy radzieckiej?

Czy rząd? Owszem, rząd radziecki wydaje swój organ codzienny — „Izwestia”, ale nie jest bynajmniej jedynym, a nawet głównym wydawcą prasy. Gazety i czasopisma wydają w Z.S.R.R. centralne i oddziały związków zawodowych, wydaje Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików), jak np. ogólnie znany organ C.K. W.K.P.(b) moskiewska „Prawda”, wydają stowarzyszenia młodzieżowe i społeczne wszelkiego typu, miejscowe władze republikańskie, prowincjonalne oddziały samorządowe itp. Rząd robotniczo-chłopski zagwarantował i oddał w ręce mas ludowych środki ekonomiczne umożliwiające wydawanie własnej prasy: pracującym Z.S.R.R. i reprezentującym ich organizacjom oddane zostały do dyspozycji drukarnie, zapasy papieru, instytucje wydawnicze i inne środki materialne niezbędne do sfinansowania i stałego rozwoju prasy. Prawo to zostało ustawowo potwierdzone w stałinowskiej konstytucji — artykuł 125 mówi o wolności prasy gwarantowanej „w zgodzie z interesami pracujących i w celu umocnienia ustroju socjalistycznego”. „Bez najlepszych drukarni, najlepszych wydawnictw prasowych, bez legalnych organizacji klasy robotniczej, organizacji ogarniających, od najmniejszych do największych, miliony pracujących... nie ma wolnej prasy” — powiedział w 1927 r. Józef Stalin w rozmowie z zagranicznymi delegacjami robotniczymi.

Rewolucja Październikowa stworzyła podstawy dla rozwoju zupełnie nowego typu prasy. Gazeta i czasopismo radzieckie nie służą interesom prywatnej jednostki, nie są źródłem

prywatnych dochodów, nie popierają dążeń wyzyskującej mniejszości — zmiennicy „właściciela”.

KOMU SŁUŻY PRASA RADZIECKA?

Prasa radziecka zaczęła swój rozwój w warunkach wyjątkowo ciężkich. Wieleletnia wojna młodego robotniczego państwa z wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem wyniszczyła kraj — utrudniało to niepomniernie techniczny proces powstawania gazet i jej normalne rozprzestrzenianie. Brakło też kadr pracowniczych, które by wypełniły ciężkie i odpowiedzialne zadania stojące przed proletariacką prasą. Aparat odziedziczony po ustroju carskim zadaniem tym poddać nie mógł. W związku z tym pisał Lenin w marcu 1918 r.:

„Prasa radziecka poświęcała dotychczas zbyt wiele miejsca i uwagi omyłkowym politycznym drobiazgom, kwestiom osobistym politycznego kierownictwa, przy pomocy których to kapitaliści wszystkich krajów usiłują osłabić czujność mas ludowych na rzeczywiste zagrożenia ich życia. Pod tym względem musimy prawie za-

żyć interesom proletariatu miejskiego i wiejskiego, pracującym, a więc większości.”

CECHY CHARAKTERYSTYCZNE

Z głęboko ludowego charakteru produkcji prasowej Związku Radzieckiego płyną i dalsze, różniące ją od prasy państw kapitalistycznych cechy. Prasa radziecka przedstawia poglądy, wolę i żywotne interesy narodów Z.S.R.R. Dlatego też można w prasie radzieckiej zaobserwować zupełnie nowy stosunek do czytelnika.

Miedzy zawodowym dziennikarzem a czytelnikiem nie ma w Związku Radzieckim zasadniczej przepaści. Prasa znajduje się w rękach organizacji ludowych. Obywatel radziecki współpracuje czynnie ze swymi najbliższymi, miejscowymi organami. Warto tu wspomnieć o bardzo szeroko rozbudowanej sieci gazet zakładowych. Obywatel często i chętnie zwraca się do swojej gazety, współpracując z nią lub pisze o dostrzeżonych niedomaganiach i bolączkach. Gazeta zakładowa, czy powojenna, jest w Związku Radzieckim swoistą formą kontroli społecznej, która zdecydowanie piętnuje naduży-

my w gazecie radzieckiej dziennikarskich „kaczków”, wiadomości niesprawdzonych a podawanych za pewne. Od takich wiadomości roi się goniąca za zyskową sensacją prasa burżuazyjna. Spowodowane jest to rozumieniem realnych potrzeb radzieckiego czytelnika. Szuka on w piśmie nie tylko informacji — szuka wyjaśnienia, szuka krytycznego omówienia podanego faktu. Odpowiedzialna i rzeczowa informacja i wielostronne i wyczerpujące omówienie podanych faktów — oto podstawowe wytyczne w pracy radzieckiego dziennikarza.

Pamiętam dyskusję jaka toczyła się u nas na temat kulturalnego życia Związku Radzieckiego w jednym z klubów młodzieżowych — chyba dwa lata temu. Wspominało się o istniejących u nas niedociągnięciach w dziedzinie prasy i o pozostałościach po przedwojennych „Expressach” i „Czerwoniakach”. Wydawało mi się wtedy, że istotną cechą całej prasy radzieckiej jest powaga traktowania poruszanych zagadnień i zdecydowana obojętność wszelkiej sensacyjności wybijanej tłustym drukiem — podawanej w wywiadach, reportażach i odcinkach powieści. Jeden z dyskutujących zarzucił mi wtedy, że nie wiem widocznie o istnieniu gazety „Wieczerniaja Moskwa” — miała ona reprezentować taki właśnie „lekki” typ gazety i świadczyć, że w ZSRR istnieje popularny na Zachodzie typ „wieczornika”. Nie znałem wtedy rzeczywistego tej gazety. Dość jednak mieć ją kilka razy w ręku, by przekonać się, że „Wieczerniaja Moskwa” nie różni się w swych zasadniczych założeniach ideowych od innych wydawnictw prasowych, jakie spotkamy na terenie ZSRR. Cała różnica od innych pism radzieckich to przeznaczenie „Wieczerniej Moskwy” dla wielkomiejskiej ludności — znaleźliśmy tam wyczerpujące wiadomości o życiu społecznym i kulturalnym Moskwy, dział sportowy, rozrywkowy itp. Różnica zaś między pierwszym lepszym piśmem amerykańskim a wspomnianą tu gazetą jest taka, jaka jest np. między wywiadem z „Miss America” lub z najstarszą prostytutką w Chicago, a wywiadem z rekordzistą spawaczem czy przodownicą moskiewskich zakładów dziewiarskich.

Prasa radziecka jest własnością mas ludowych państwa socjalistycznego — wydawcą prasy są instytucje i zrzeszenia społeczne reprezentujące ludzi pracy ZSRR.

Nie więc dziwnego, że prasa radziecka cieszy się wielkim zaufaniem czytelników i że odgrywa tak znaczącą rolę w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym. Dowodem tego mogą być lata ostatniej wojny. Prasa radziecka w znacznym stopniu przyczyniła się do uświadomienia wszystkim celów ostatecznych wojny i prasy jest też zasługą, że instynktowna nienawiść mas ludowych do najeźdźcy zmieniła się w świadomą wolę zwycięstwa nad wrogiem klasowym.

KILKA INFORMACJI

By ocenić ogromny rozrost wydawnictw prasowych ZSRR warto poznać kilka cyfr. W roku 1913 ukazywało się na terenie Rosji 775 pism rosyjskich i 84 w innych językach. W roku 1939 na terenie Związku Radzieckiego było już 6.475 pism wychodzących w języku rosyjskim i 2.294 w innych językach. W tym samym roku dzienny nakład wszystkich pism radzieckich wynosił około 27,5 miliona egzemplarzy — w roku 1913 nie dochodził do trzech milionów. Na pięciu dorosłych obywateli ZSRR przypadały dziennie dwa egzemplarze gazet. Żadne państwo na świecie nie może pochwalić się w tak krótkim okresie czasu dziesięciokrotnym wzrostem ilości prasy i czterestokrotnym wzrostem ilości dziennego ich nakładu. Trzeba przypomnieć, że w latach bezpośrednio następujących po Rewolucji Październikowej tereny Związku Radzieckiego uciierały bardzo znacznie wskutek pierwszej wojny imperialistycznej i czteroletniej wojny domowej. Rozwój wydawnictw prasowych w ZSRR został czasowo osłabiony przez najazd hitlerowski w latach 1941 — 1944. Zginęło wielu współpracowników prasowych, poważnie spadła produkcja papieru, zachodnie tereny kraju barbarzyńsko niszczył okupant.

Obecnie produkcja prasowa i wydawnicza ZSRR stała na przedwiośnie i zaczęła go przeżywać. Lokowano tego dzięki pełnemu poparciu, jakiego udzielała prasie radzieckiej mas pracujących i dzięki wydatnej pomocy rządu i partii. Włączona w rytm socjalistycznego życia prasa radziecka ma nieograniczone możliwości rozwojowe. Bardzo ogólnie rozważanie tych cech istotnych i celów prasy radzieckiej jakiego tu dokonaliśmy, nie analizując poszczególnych gałęzi produkcji prasowej ZSRR i jej organów, pozwala jednak na zamknięcie wywodów wnioskiem: rozprzestrzenianie i czytanie prasy radzieckiej — prasy walczącej o pokój i postęp ludzkości, może wydatnie pomóc i przyspieszyć budowę socjalizmu w Polsce Ludowej.

Prasa radziecka jest najkonsekwentniejszym bojownikiem w walce o pokój i socjalizm.

STEFAN TREUGUTT

Mikołaj Gribaczow

tłum. WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

Wiosna w kołchozie „Pobieda”

(Fragmenty poematu)

1.

Dzwonek telefoniczny wdart się w ciemność domu: — Tu mówi sekretarz „Obkomu”. Czy profesor Graczev? Przepraszam, że w nocy. Towarzysz chory. Trzeba niezwłocznie pomocy... Nie, nie tu. W kołchozie „Pobieda”. Auto przysyłamy. Pociąg — pięta dwie. Proszę się ciepło ubrać. Z pogodą, wiece bieda. Pomocnik? Oczywiście, nie byłoby źle. Zróbcie wszystko, spełnijcie szybko prośbę moją, To wyjątkowo potrzebny dla partii człek...

A do miasta wiosna zagłada, niepokojąc
Srebrnym dzwonkiem strumieni i poszumem rzek
I w pośpiechu zrywa z dachów wiatr — wiosenny wandal,
Zimy śnieżnobiały sztandar.

2.

Po szynach, rozpryskując dym,
Grzmi długi pociąg hukiem swym.
Przez okna wpełza ogniem wiatr.
Agronom obok dółki siadł,
Śpi, lecz go budzi każdy wstrząs,
Już prawie na walizach leży
I tego snu dziwny płas
Pochłania go i spałby wiek.
Aż się sąsiadce robi żal:
„Jaki zmęczony biedak ten,
Pod głowę przydałby się szal,
Lecz szkoda ruszać, pierzchnie sen”.

Swą fajkę emoka stary dziad,
Do snu odeszła jakoś chęć...
To dziwne: tyle ma już lat,
A skusił go do Moskwy zieć.
— Mam wnuczkę znów... i zaraz zcichł.
A wnuków, gdyby zliczyć ich:
Na Woldze — zuch, w Sybirze — zuch,
W Wologdzie jeden, w Tule — dwóch.
— I pod Kijowem synek mój
Z rodziną jest. Ach, czekać, stój,

Rodziny kraj dokoła swój! —
Starego los, to kraju los...
On, kiedy weźmie gazet stos,
Gdy obok samowaru świst,
On swojej babie, niby list
Je czyta. Brwi nad twarzą ściał,
Do fabryk, do wsi myślą gna.
I mówi:

— Siomka tempo wziął!
A Paweł ciężką pracę ma!
A na środkowej ławce śpi
Mechanik-uczeń obok drzwi.
Blask słońca głaszcze go. A sen
Odkrywa moc radosnych scen:
Że order ma, że całkiem zgryź
Robotę aut i maszyn „ZIS”,
Już ciężarówka wioską mknie
I mówią ludzie raz po raz:

— Ten Miszka napracował się
I motor nie zawiedzie nas!
Kierownik klubu z pliką ksiąg
W kącie ławki prawie cały wsiakł.
Na trzeciej ławce błady świt
Rozjaśnił mrok. Tam chrapie ktoś:
Marynarz wypił chyba z litr
Z kawalerzystą — co za gość! —
Zaprzysiężnił się, bo miał
Z nich każdy wspomnienie fure, — ba!
Ten, — jak w Konstancy flotę brał,
A tamten — jak piechota śpia
Do Pestu. Teraz razem śpi.

Grzmi, huczy pociąg. Szyny drżą.
I stacje drżą od mocy tej,
I nurt powietrza lśni jak stal.
I nagle widać:
Rosja w niej
Wypływa w niebo,
w zorzę,
w dal —
I kołchoz płynie pośród łąk
I dworzec
dymem obrósł w krąg
I pola
płyną zbożem tam,
Zwierzęta,
które chroni las,
Podróźni
i profesor sam —
W wiosnę
i w bezkres,
w zorzy blask!

3.

Chodzi szklarz po wiosce
W zadumie i trosce,
Chodzi szklarz. — I wstawia
W okna ręką drżącą
Tutaj trochę nieba,
Tutaj trochę słońca.
Taka już ochota
Chatce dodać złota
Niechże w blasku tonie
Jako ten Ptak-Plomien,
Żeby nad zegarem
I nad obrazami
Migał ten zajączek
Z żółtymi wąsami,
Żeby oczy matki
I dziecka, pod strzechą,
Tymi zajączkami
Błyszczały w uśmiechu.

Jak się można chować
W mroku czasu tyle?
Jakże tam sumować
życie — w takich chwilach?

Oto spadły sopte
Z dachu zielonego
Jak metalu kropie
Do pieca wielkiego.
A chłopczyk w kałuży
Jak Guliwer statkiem
Płynię — oczy mruży,
Bo słońce ukradkiem
Własnie wlało w wodę,
W druty, w drzewa, w niebo...

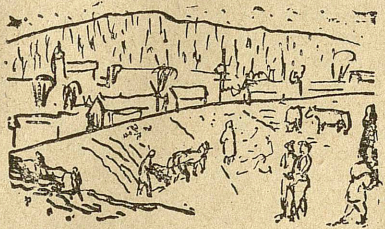
Trochę słońca wstawić
W tamto okno trzeba.
Niech ogrzeje serce,
Niech we krwi się kręci,
Żeby pieśń płynęła
Nawet na złość śmierci!

Okno w jednej chacie
Zasłona przykrywa...
Kto to, czy go znacie?
Kto tam odpoczywa?

MIKOŁAJ GRIBACZOW

Życie w Dolinie układało się od setek lat niezmiennie w myśl sławetnej maksymy: jak było za Boga Ojca, tak i za Syna Jego.

Rodzili się więc, żenili i umierali. Poza tym pili wódkę i bili się, gdyż byli honorowi — zwłaszcza po dziesiątym kieliszku. W przerwach zaś harowali najdokładniej według odziedziczonych metod i klepali biedu — również takusienką jak ich przodkowie.



Słynęli także ze złodziejstwa. Ale tego im za złe brać nie można. Byli przecież bardzo biedni — mając o wiele za mało aby żyć i odrobinkę dużo aby umrzeć. Że zaś zarobić nie było ani gdzie, więc „pożyczali” u bogaczy, aby zdobyć ten ostatni kawałek chleba, który decyduje o tym, aby nie umrzeć z głodu. Czynili to zresztą jak na uczciwych katolików przystało, — żegnając się nabożnie, gdy szli w ciemną noc i wdychając żarliwie do Wszechmocnego, o szczególnie obfitych polach.

Przy tym wszystkim oczywiście chodzili do kościoła, wierząc nie tyle w Boga, ile w to, że są katolikami. Niby w nagrodę, że byli łaskawi odklepać codziennie pewną ilość ojczenasów i zdrowasiek oraz kiwać głowami podczas niedzielnych kazań, wyrażając tak niekosztownym sposobem siłę swych uczuć i uznanie dla potęgi proboszczowych argumentów.

Wiść leżała za górami i lasami, z dala od tzw. „świata”, — stanowiąc samą dla siebie świat całkiem wystarczający, aby się w nim nacieszyć. W tym ciasnym kotle gromadzkim, gdzie na tysiącu hektarów żyło czterysta rodzin, przy czym pięćdziesięciu najbardziej potrzebnych miało poniżej hektara, a pięciu najbogatszych powyżej pięćdziesięciu morgów, gdzie łatwiej było o kamień niż chleb, o przekleństwo niż zyciowy uśmiech — mimo pozornej martwoty działy się od czasu do czasu rzeczy groźne i ponure. Ich źródłem była zawsze albo ogromna chęć i cięć, albo jeszcze większa nęda i ciemnota — zjawiska zresztą wciąż sąsiadujące z sobą na kapitalistycznej części globu.

Na tym podłożu wyrastały i takie wypadki jak w Dolinie, gdzie jeszcze przed wojną Szymczyk zarabiał ojca siekiera — bo gruntu odpisać nie chciał, że Pamula wygnął znielodolniał od ciężaru lat matkę na działy — bo mogła jeść a robić nie, że Skowron w latach wojennych korzystał z uprzejmego pośrednictwa gestapo, wysłał swych łotców na straszną śmierć w Oświęcimiu — bo się uparli żyć, tuzimając połowę gruntu, a jemu pilno było zostać gazcą na całym.

Wojna choć przewróciła świat do góry nogami — nie od razu zdolała uczynić to w dolnińskim życiu. Wsią przy znikomym i statycznym udziale biedaków i rządili kłmnie. A rządili, rzecz jasna, tak, jak im pasowało i tak, aby im i tylko im było dobrze. Wprawdzie wybrany zaraz po wojnie soltys — stary ludowiec, były więzień oświęcimski, właściciel dwuhektarowej gospodarki zaliczał się do biedaków i darył ich dużymi sympatiami — przecież holdując prawiocowym ideałom polityki ludowej i stawiając na międzychłopską jedność sędził na kompromisy z bogaczami, stając się właściwie bezwolnym narzędziem w ich rękach.

Nie pozostała przecież wojna bez

JÓZEF BIENIEK

PIERWSZY KROK

wplywu na układ stosunków społecznych w Dolinie.

Wniośta w życie tutejsze ferment, który stał się drożdżami przyszłych rozgrywek klasowych i dopomógł biedniackiej warstwie czepać się z ciężaru uciegłości gospodarczej, społecznej i psychicznej, jaką garstka bogaczy osaczyła jej życie.

W te właśnie lata gdy na barki biedaków spadły najprężniejsze ciężary niesumienne rozdzielanych kontyngentów, a zwłaszcza wyłączna prawie konieczność wyjazdu na roboty do Niemiec — przysnął jak bańka mydlana kolorowy mit o jedności chłopskiej i przerwała się, tym razem beznadziejnie, więź solidaryzmu opasującego do niedawna życie wsi iluzorycznymi teoriami o rzekomej identyczności i jednolitości interesów wszystkich chłopów, bez względu na ich stan posiadania.

Zaraz po wyzwoleniu, gdy minęły pierwsze chwile odprężenia i radości, znów powrócił do Doliny stary znany — apatyczny drętwa.

Chłopi chodzili zgaszeni jacyś i osowiali — jakby się gwoździł na jedni. Nawet ci, którzy z dolnińskiego dworu brali pańską ziemię, nie mieli pogody w sercach ni uśmiechu na ustach. Tym radość z dostąpienia tego, o czym marzyli lata całe, trudy snujące się w krag opary niepewności, a raczej przemieszki, drwiny i szeptu tych, którzy ziemi nie otrzymali, wespół z bogatymi stronnikami dworu szerzyli wieści o straszliwej zemście pańów i o wierzbach, na których wieść będą ci wszyscy, co odważyli się wyciągnąć po pańską ziemię świętokradzką ręką.

W te dni zawadziło o Dolinę dwu obywateli z powiatowej mieściny, którzy ujeli dolnińskich do tego stopnia, że zorganizowali się dwa kół ZSCh i SL.

Po odjeździe szkodliwych pańów, obydwa kół z tych samych zresztą członków złożone i po dawnemu przez siebie bogaczy i kręczy oprowadzane, — rozpoczęły „prace” polegające głównie na wyekwiwaniu spełnienia się danych obietnic. Ponieważ jednak nie podobnego zdarzyć się nie chciało, więc nasze kół weszły w następną fazę działalności — narzekania. Ale że i to nie nic pomogło, a z zapadłej Doliny trudno było dojrzeć jaśniejące nad Polską sprawy — przeto chybicie z lekkim sercem założone organizacje zasnęły w Panu i Dolina wróciła do swej ulubionej drzemki.

Nie na długo jednak. Czasy szły gorące. Świat przewracał się zdecydowanie na lewy bok, dosyć już się na prawym należałszy. I Dolina chcąc nie chcąc musiała w tym ruchu miejsca swego szukać. Na razie wyrażała się to nieprzejawnym zdziwieniem i szeroką rezerwą w stosunku do każdego nadchodzącego z zewnątrz zjawiska. Chociaż były to, jak na razie, rzeczy najzupełniej proste, w większości wypadków te same postępowe przemiany do których chłopów, pi dolnińscy, kłnę na sanację, wdychali. Całą „winą” była ich niegłos oraz to, że wymagały od wsi myślenia i pozytywnego ustosunkowania się — czego właśnie dolniacy najbardziej nie lubili.

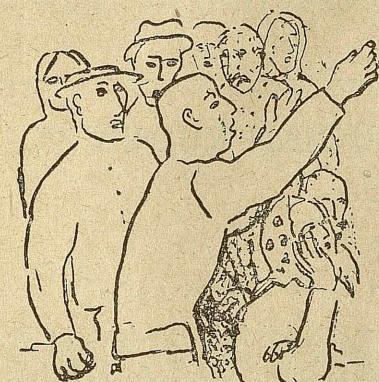
Nie bez znaczenia była w tym wypadku gorzka nauka przeszłości. Bo przecież chłop w historii swej nigdy nie miał zbyt wiele powodów do zachwycania się którymkolwiek z rządów czy ustrojów. Raczej przeciwnie. Toteż narosło i hodowane przez wieki całe elementy negacji i nieufności stanęły znów na łroczach

chłopskich ku nowej Polsce rozległymi barykadami oporów i niwiarów. Rozwinięły się one wspaniale, znającą oficjalną podbudowę z chwilą, gdy do kraju powrócił Mikołajczyk, a w Dolinie na gruzach Stronnictwa Ludowego powstało Polskie Stronnictwo Ludowe, od razu liczne i popularne — z Talagą jako prezesem na czele. *)

Na przeciw nim, do burzenia tamtych barykad, do ciężkiej orki pod nowe, wystąpiło kilku ludzi zorganizowanych w komórkę PPR, której założycielem, motorem i duszą był jednolitek Karasiewicz zwanym Skrzynką. Wspomagał ich kilku radykalnych ludowców i wicarzy oraz dwóch czy trzech bezpartyjnych, dawnych oświatowców z Tow. Szkoły Ludowej. Było ich jednak niewielu i sami biedacy, ogłoceni z ustalonych w hierarchii społecznej wsi wartości i tak bez znaczenia wobec potęgi władającego wsią klanu, że przez długi czas wszelkie ich porwy wywoływały więcej śmiechu i drwin niż konkretnych osiągnięć. Do czasu jednak.

Pewnej niedzieli, latem 1945 roku, odczytał soltys na „gromadzie” okólnik Powiatowej Rady Narodowej zwracający się do wszystkich gmin i gromad z apelem o zorganizowanie „Dnia Pracy” — celem uporządkowania najbardziej zaniedbanych odcińków dróg na terenie powiatu. Myśl nieprawdopodobnie prosta i słuszną wywołała w dolnińskim zebraniu istną burzę.

— Cooo! — wrzeszczeł gromadczyc gardłacz, — mało to mamy pracy na swoim, mało to naharujemy się u siebie. Niech sobie „dnia pracy” urządzają ci, którzy cały rok za biurkami przeprończają.



— Tak, tak — aprobowała gromada — oni niech robią. Oni!

— Kto, jacy oni? — zapytał w momencie ciszy jakiś mocny głos.

Proste pytanie zaskło oponentów. Wściekli spojrzeli na śmiałka. Był nim Karasiewicz, nieślubny syn kulawej Margoski — komornicy. Siedział w kacie sali młody, przystojny i tegi, z szerokim uśmiechem na milej twarzy, mając wokół siebie całą społeczną niezdarną Doliny — wszystkich wyrobników, jednogłogowców i biedaków, patrzących w mądrą i śmiałą twarz tego, który rychło miał się stać ich wodzem, z wyrazem ufności i serdecznego oddania.

Karasiewicz, przed wojną znany na okolicę wybił-ko zabrany został ze służby za parobka na roboty do Niemiec. Tam za uderzenie bauera szybko wyładował w obozie, gdzie zetknął się z więźniami sowieckimi. Rok potwornej poniewierki wspólnie znoszący.

*) Patrz: J. Bieniek „Życie Bejduł” „Wies” nr 9: r. 1948.

nej dał mu okazję zbratania się z szeregiem radzieckich towarzyszy na śmierć i życie. Ich wpływ na umysł młodego zabijaki, ale chłopca o złym sercu, był tak wielki, a głoszone przez tamtych prawdy tak urzekły chłopskiego nieczarza — proletariata, że nie wiedząc nawet kiedy i jak stał się żarliwym komunistą.

Wnet po powrocie do Doliny ożenił się z jeźdźniczką w wdowy Karpielki i rozpoczął życie na dwuhektarowym gospodarstwie utrzymanym za żoną. W międzyczasie został członkiem PPR-u i pomagając Skrzynce w pracach społeczno-politycznych wybił się na czołowego działacza, przejmując z czasem kierownictwo komórki partyjnej i Kół ZSCh.

Objęcie gospodarstwa dało mu prawo wstępu między gazdów, z czego Karasiewicz lubiący towarzystwo i mający w tym własny cel korzystał przy każdej okazji, specjalnie pilnując koniecznych zebranych zwanych „gromadami”, na których załatwiane były wszelkie sprawy dotyczące życia administracyjno-urzędowej strony gromadzieckiego życia.

Początkowo przychodzili na zebrania owe wspólnie z Jasica. Ten jednak miał tę zasadniczą wadę, że będąc szalonym nerwem wybuchł z byle powodu wściekłym gniewem i co gorsza szybko się zniechęcał. Na tej jego słabej stronie zbudowali nienawidzący Skrzynkę bogacz plan, na oko bzdurny, który jednak cel swój osiągnął. Zdarzyło się więc kilka razy, że na widok wchodzącego na salę zebrania Skrzynki, złośliwiec Talaga cofał się przestąpił, usuwał stojących obok i kłaniając się z miną diabła szczerze, chrypił fałszywym basem trawestując zjadliwie kościelną pieśń:

Zróbcie mu miejsce, król dziadów idzie...

Ludzie widząc, jak się sztywny zawsze i napuszczony bogacz wygłupia, rzyli z uciechy, a Skrzynka sądząc, że śmiejąc się z niego, szalał ze złości, palił się, kłął i gadał głupstwa, aż wrzeszcząc całkiem na zebraniu chodził zaprzestając. Nigdyby jednak tego nie zrobił, gdyby pojął, ile przez to sprawił radości bogaczom. Było bowiem publiczną tajemnicą, że ten, jak go tu nazywano „człowiek o niewyparzonym pysku”, psuł im krew jak nikt na okolicę, walcząc na zebraniach o prawa biedaków z pasją rzadko spotykaną.

Inaczej Karasiewicz, ten — niezwykle opanywany, spokojny, zawsze grzeczny ale stanowczy — nigdy się nie unosił i nigdy nie kapitulował. Zawzięty i konsekwentny przychodził na każde zebranie z plikiem gazet — odczytywał najważniejsze artykuły i zabierał głos we wszystkich niemal sprawach, prawie zawsze z wynikiem decydującym, co rodowych kłmiec, przyzwyczajonych trząść gromadą, doprowadzało do białej pasji.

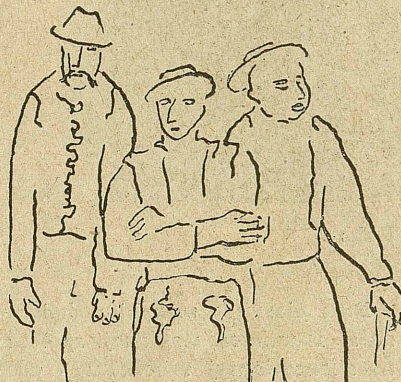
Taki dziad — mruczeł — taki wściekły dziad, co jego pole zabija jednym hypnocytem przeskończy, taki „bak” niewiadomo przez kogo zmajstrowany — on nas tu gazdów będzie rozumem uczył.

Ale tylko mruczeł, po cichu, z dala i poza oczy — bojąc się głośniej wystąpić, gdyż Karasiewicz miał cstry i na głębi miał jeszcze z nim nie wygral. A gdy zaczepiony walczył słowem, to kłębem cepem — aż w oczach ciemniało. Tak też było i tym razem. Gdy Karasiewicz się zadał tamto pytanie: — Kto? Jacy oni? nastąpiła chwila konsternacji. Nareszcie któryś bąknął niepewnie:

— No, ci, którzy takie ustawy wymyślają — rząd, starosta...

Wtedy Karasiewicz wstał i zaczął swą pierwszą większą walkę, po której przybyło mu wielu wrogów, ale nie mniej jeszcze mocniej polubił — pasując na swego wodza.

Powiadacie — rąbał Karasiewicz — żeby na naszą drogę starosta przyjechał robić. A po co? Czy jemu ta droga potrzebna, czy kiedykolwiek będzie z niej korzystał? Na pewno nie! To nasza droga. To my na niej



Jamieny kół i rozbijamy wozy. Naszym więc obowiązkiem jest drogę tę jak najszybciej naprawić. Obowiązek ten spełnimy właśnie w „Dniu Pracy”.

Chłopi lubią mocne słowa i stanowcze decyzje. Uderzeni prostotą argumentacji i siłą bijącą od jego postaci, siedzieli mało widocznym w kłębach machorkowego dymu, milczeniem aprobowując ową jakże jeszcze prymitywną prawdę. Jedynie Talaga, bogaty sknera, wieloletni opozycjonista, protestujący z przyzwyczajenia zawsze i wszędzie, próbował i tym razem oponować.

— Przecież robiliśmy szarwark — mówił — a i tak nic nie pomogło. Cholera nie droga!

— Cholera nie robota! — odważył Karasiewicz. — No bo jak ten szarwark wyglądał? Z piętnastu furmanek osiem przywiozło za pół dnia po raz i to w sam raz tyle, że stara baba w zapasie więcej by przyniosła. Reszta naprawiała wozy, gdyż uмышленie pobrali tekie co się rozlaża, aby mieć kół czego dłużyć. Tak samo piesi, Boroń, Matol, Szyzka i Zrębel przeleżeli cały dzień w krzakach grając w karty, kilku młodszych lazło po wsi za dziewczętami, a reszta, choć przy pracy niby była, kiwnęła się raz na godzinę. Toteż zrobiono akurat tyle, że kot by więcej naplał. Zresztą wy, Talago, wiecie o tym najlepiej, gdyż przestaliście pół dnia obok skalknika, zbijając połamane ostony.

Cooo? — próbował mówić poczerwieniały z wściekłości Talaga, zaciskając pięście i przejąc się jakby do skoku. Ale Karasiewicz o nic nie dbając rznął dalej.

Na nie protesty — tak było, tak robił się. I to właśnie wy, czterdziestoparomorgowy kłmiec, właściciel dwóch par koni, potrzebujący tej drogi sto razy więcej niż wszyscy biedacy razem wzięci.

No pewnie — wturcił się ktoś z kompanii Karasia — przecież biedak całe życie na piechotę wdręjący wybojów na drodze nie narobi.

Chyba wtedy, jak go na cmentarz wiozą — zaśmiał się inny gorzko i samotnie.

A właśnie — podjął Karasiewicz — ci najbliżsi najlepiej w czasie

szarwarku pracowali. Wspomnę tylko Bulasa, który w swoim dniu oczyścił prawie sto metrów rowu.

— Psie prawo działa — warknął Talaga — robić aż do zdechnięcia! — Wolnego Talazko — obruszył się Bulas, — taki to dziać jak i wy — po prośbie nie chodzę, a co zarobię tymi oto kulasami — tu pokażę sękatę i szczerbię od trudu dionie — to jest moje i uczciwsze od waszych złodziejskich morgów, przy których kradniecie w biedy dzień, wyzyskując zorochników i służbę.

Talaga momentalnie sponował. Oczy zapłonęły mu jak reflektory najgorszą wściekłością urażonej dumy. Szarpnął się jak sparczony i skoczył z pięściami ku Bulasowi, drąc się owrzodzonymi złościami głosem:

— Ty sakramencki woszu, jo ci dom złodziejskie morgi, az ci zęby d... wylecą.

Nim jednak zdążył dopaść Bulasa, których z siedzących bliżej biedaków podstał mu nogę i Talaga rypnął na pysk jak długi, wywołując na tyłach sali szaloną uciechę. Gdy fala śmiechu opadła, a szarpnięcie się Talagą wciągnęło kumotrowie do ławy tłumacząc mu dyplomatycznie, że szkoda gazdowskiej ręki na działowską mordę — znów zabrał głos Karasiewicz.

Reasumując wcześniej powiedziane — ciągnął uparcie rzecz do końca — stwierdzam, że szarwark ze strony dolnińskich bogaczy został haniebnie zbyty. Z powodu braku kamienia powstałego skutkiem sabotażu furmanek droga nie poprawiła się ani o włos i znów wczoraj Kudia wywalił wóz pełen siana, a Zurek zlał os. Stawiam przeto wniosek, aby wezwać tych, którzy najgorzej pracowali, a więc w pierwszym rzędzie Talagę i innych koniarzy, do ponownego odrobienia szarwarku.

W izbie zawrzało po raz drugi. Zastankowani z Talagą na czele rozpoczęli piekielny harmider, obrażając Karasia stekiem najbardziej niewybrednych wywisk. Patrzyli przy tym tak mściwie i groźnie, że gdyby oczy strzelać mogły — zginalby Karasiewicz, rozzerwany na strzępy. Tymczasem tył sali też nie tracił czasu i popierał Karasia wależ brawo twardymi jak łopaty łapskami aż szczyły drzały. Burzę uciszył soltys rzucając pięścią w stół i wywołując potężną łagą, z którą się nie rozstał od czasu powrotu z obozu, gdzie mu esman, ot, tak dla „żartu”, przestrzelił nogę. W tej chwili, wobec tak oczywistej prawdy, zebrało mu się wrzeszcze na odwagę stanąć wyraźnie po stronie biedaków i kiedy tuman wrzasku rozlał się nieco, zabrał głos:

— Obywatele, bądźcie uprzejmi uspokoić się, albowiem musimy przyznać, że Karas ma rację.

Na ławach biedniackich rozległy się oklaski i ucieśnione okrzyki, natomiast ławy bogaczy zadygotały ponowną chęcią buntu. Ktoś gwizdnął, inny rzucił pod adresem „dziadów” plugawie słowo i znów zaczął się dźwigać dziki tumult. Zrywającą się burzę przygniół zdenerwowany soltys potężnym rykieniem.

Tak, psia krewno, ma rację Karas! Święta, najświętsza! Ja już nie raz chciałem wam powiedzieć to samo, ale bałem się piekła robić. Skoro jednak Karas wywolił to sprawę, ja popieram go sercem całym. Myślę tylko, że jego wniosek przelejemy na konto „dnia pracy”, w którym Talaga i inni wezmą szczerzy udział, rehabilitując się w pełni. Czy uchwalacie ten wniosek? I czy zgodzicie się żeby Karas objął kierownictwo nad „dniem pracy” w naszej gromadzie. Kto za tym?

Kupa rak na tyłach sali, okrzyki trudem dionie biedaków podniosły: się ochoczo i tak Karas wygrał swą pierwszą bitwę, stawiając zarazem pierwszy krok na wielkiej drodze przemian.

Józef Bieniek

Elżbieta Brodzianka

O popularną recenzję

sce także jednym z powodów małej popytności wartościowej literatury. Dotyczy to wszelkiego rodzaju informacji literackich o ukazujących się na rynku książkach, recenzji sprawozdań krytyk literackich, oraz krótkich notek bibliograficznych. Te ostatnie np. pochodzą z reguły od wydawców i nie mają charakteru informacji oświatowej a raczej są zawiadomieniem o ukazaniu się danego tytułu. Natomiast dwa pierwsze rodzaje informacji nie tylko ograniczają się do bardzo nielicznej ilości książek, ale są na ogół niewyczerpujące i najczęściej zbyt trudne dla masowego czytelnika.

Tymczasem pomijając notatki bibliograficzne, pożądaną zresztą nie tylko w prasie codziennej, ale i w czasopiśmie — szczególnie docierającą na wieś, idzie o rzeczywiste upowszechnienie zarówno krytyki literackiej jak i recenzji, oraz o nadanie im w pełni wychowawczej treści, kształtującej świadomość odbiorcy.

Masowy czytelnik wymaga bowiem takich danych o książkach, które nie tylko wzbudzałyby jego zainteresowanie fabułą opowieści, ale oświecałyby problematykę utworu, epokę, postawę autora i prąd, które kształtowały jego twórczość.

Taki typ recenzji uczyby czytelnika krytycznego spojrzenia na literaturę, ułatwiłby mu właściwy dobór książki, zrozumienie jej, umożliwiłoby związane z nią oraz spożytkowanie jej wartości.

Wprawdzie zakres wiadomości szkolnych czytelników ze środowisk robotniczo — chłopskich jest skromny, nie mniej jednak, inteligencja wrodzona, wyobraźnia, dojrzałość życiowa oraz intensywne przeżycia ostatniego dziesięciolecia przyspie-

szyły rozwój ich zainteresowań, pogłębiły stosunek do życia i uczyniły dla nich książkę upragnionym źródłem wiedzy.

Uwzględniając potrzeby i racjonalnie podsycając rozbudzone zainteresowania intelektualne wspomnianych środowisk — instytucje kulturalno-oświatowe prowadzą już szeroką akcję w zakresie czytelnictwa.

Różnorodne formy pracy nad książką jak: zespoły czytelnicze, konkursy, stałe i objazdowe wystawy książek, loterie książkowe, spotkania czytelników z autorami, publiczne dyskusje na temat książek, oraz propagowanie lektury za pomocą żywego słowa poprzez dramatyzację i inscenizację fragmentów powieści itp. nie spełniają jednak jeszcze wystarczającej roli.

Aby utrwalić w świadomości społeczeństwa przemiany, które dokonały się na przestrzeni ostatnich lat, oraz pobudzić szerokie rzesze czytelników do czynnej postawy wobec życia i jego problemów, konieczne jest uziętnienie ideologicznych i artystycznych wartości literatury przez szerzoną i pogłębianą krytykę informacyjną, przeznaczoną dla jak największej ilości konsumentów książki.

Doświadczenia dotychczasowych prac zarówno zespołów czytelniczych jak i instytucji kulturalno — oświatowych, a nawet głosy indywidualnych czytelników, wskazują na słusność inicjatywy wydawniczej, jaką w zakresie najwartościowszych książek podjął „Czytelnik”, rozpoczynając w roku bieżącym cykl Informatora dla czytelników, pt. „Dobra Książka”.

„Dobra Książka” pomyślana jest jako masowe wydawnictwo uwzględniające potrzeby literackie zarówno polskie jak i obce — dostępne dla



szerekiego ogółu. Broszurki wydawane w niewielkim formacie, sformułowane w łatwym, choć nie prymitywnym języku, zawierają odpowiednio zgrupowany materiał informacyjny, portret autora z krótkim jego życiorysem, notatkę bibliograficzną i ilustrację karty tytułowej książki oraz dane o kilku książkach, w których się tematycznie z opracowaną tytułem.

Oświecenię problematyki utworu oraz krytyczne spojrzenie na książkę powinny zbliżyć czytelnika do wszystkich zagadnień uwypuklonych w utworze, umożliwiając mu powiązanie z rzeczywistością, odległego czasokresu i postaci z rzeczywistością, w której żyje. Nadto wprowadzenie w postaci „zagadnień” proponowanych do przedyskutowania kilku węzłowych problemów omawianej książki skłoni na pewno wielu czytelników do indywidualnej lub zespołowej oceny książki, zapewniając jej należyty wpływ wychowawczy.

Usługą zagwarantowaną „Informatorowi” odpowiedni do jego założeń poziom, redakcja „Dobrej Książki” w oparciu o teoretyków literatury — zainteresowała tą sprawą środki polonistyczne przy niektórych uniwersytetach, dając sposobność stu

dentom do wzięcia udziału w pracach autorsko — redakcyjnych.

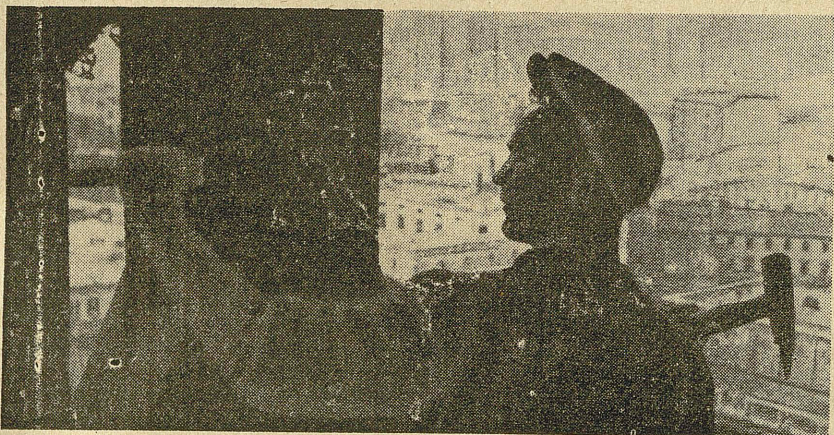
Fakt ten może mieć duże znaczenie wychowawcze w stosunku do przyszłych, terenowych działaczy oświatowych.

Informator „Dobra Książka” służyć będzie nie tylko czytelnikom, dla których w pierwszym rzędzie jest przeznaczony, ale stanie się również cenną pomocą dla bibliotekarzy, działaczy kulturalno — oświatowych i nauczycieli.

Naczelna Dyrekcja Bibliotek oraz Centralna Rada Związków Zawodowych, które ustosunkowały się pozytywnie do koncepcji „Informatora”, doceniając rolę tego wydawnictwa — przyrzekły swoje poparcie w zakresie przeprowadzenia nakładów do jak najodleglejszych ośrodków zarówno wiejskich jak miejskich.

W roku 1950 przewiduje się opracowanie w ramach Informatora pierwszych 50 wybranych tytułów. Należy oczekiwać, że wydawnictwo okaże się w tym stopniu użyteczne, iż zwiększona ilość tytułów w następnych latach będzie poważnym krokiem naprzód do upowszechnienia i pogłębiania czytelnictwa.

Elżbieta Brodzianka



Dobra książka beletrystyczna jest najłatwiejszym a zarazem najskuteczniejszym środkiem masowego oddziaływania kulturalnego i wychowawczego. Zasięg jej społecznego oddziaływania zależy jednak nie tylko od jej poznawczych artystycznych walorów, lecz w ogromnej mierze także i od sprawnej organizacji jej masowego odbioru poprzez punkty biblioteczne, oparte o wzrastającą sieć bibliotek powszechnych (samorządowych) i społecznych (organizacyjnych) w kraju.

Na podstawie dotychczasowych badań czytelnictwa trzeba jednakże przyjąć, że jakkolwiek bezsporny jest fakt wzrostu liczby czytelników ze środowisk robotniczych i chłopskich, to jednak poczynności wielu wartościowych pozycji literackich jest zbyt mała. Na zjawisko to składa się kilka przyczyn. W pierwszym rzędzie należy podkreślić niedostateczną wciąż jeszcze zagęszczenie sieci bibliotecznych, a dalej niewystarczającą ogólną ilość książek w kraju i stąd małe urozmaicenie katalogów, powtarzające się tytuły.

Niesprawne dotychczas prawie wszędzie kręcenie książek oraz wspomniane wyżej braki nie występowałyby z taką jaskrawością, gdyby bi-

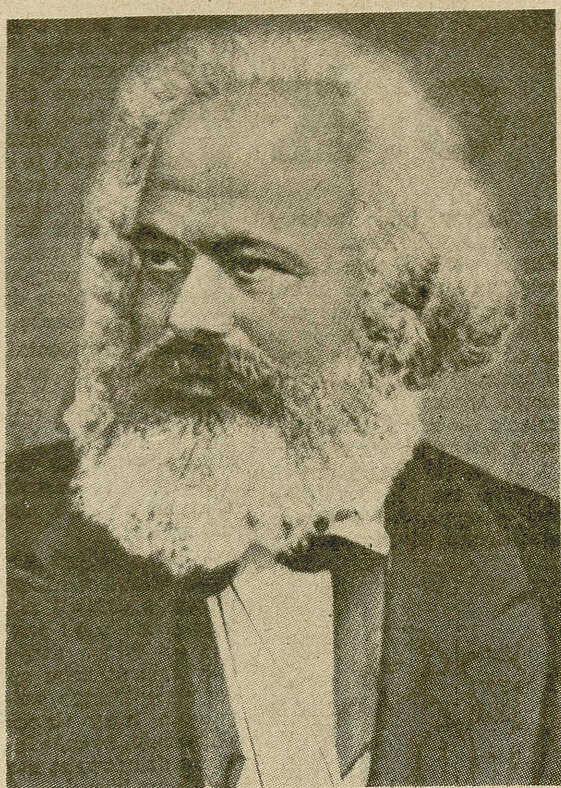
blioteki dysponowały dostateczną liczbą wykwalifikowanych pracowników, którzy umieliby w bezpośrednim kontakcie z czytelnikiem odpowiednio książkę oświetlić i zainteresować nią odbiorcę. Rozszerzenie i wyszkolenie kadr bibliotekarskich — to sprawa przekształcenia bibliotek w ośrodki istotnej i skutecznej propagandy książki.

Dotychczas, cały niemal ciężar pracy w tym zakresie spadał na instytucje kulturalno — oświatowe i wydawnicze, które nie rozporządzając odpowiednio licznym, terenowym aktywnym czytelnictwem — nie mogły sprostać zadaniom.

Doświadczenia w tej dziedzinie aparatu bibliotecznego w ZSRR wskazują, że rolę propagatorów książki spełniają tam doborze rozmieszczone biblioteki o wyrobionych metodach współpracy z czytelnikami, a nadto terenowi aktywiści, tzw. „knigoseny”.

Jest przy tym rzecz ciekawa, że dla ułatwienia czytelnikowi nabycia czy też wypożyczenia książki stosuje się rozwożenie książek samochodami, tzw. „bibliobusami”, kursującymi planowo po trasach wiejskich.

Brak odpowiednich publikacji informacyjnych o książkach jest w Pol-



Korol Marks

Zamieszczone poniżej wyjątki z pism Marksa, pochodzą z rzeczy nie tłumaczonych na język polski, mianowicie z „Manuskryptów ekonomiczno-filozoficznych” (Ekonomsche-philosophische Manuskripte), pisanych w 1844 r. oraz z „Teorii wartości dodatkowej” (Theorien ueber den Mehrwert), pisanej w latach 60-tych ub. wieku. Pierwsze pochodzą z wczesnego okresu działalności teoretycznej Marksa, drugie — z okresu pisania „Kapitału”.

Dwa pierwsze urywki poświęcone są zagadnieniu sytuacji społeczno-ekonomicznej robotnika — proletariusza w ramach ustroju kapitalistycznego, dwa następne sytuacji — inteligencji. Wykazuje w nich Marks, jak burżuazja i kapitalizm wypacają zasadniczy — społeczny i ludzki — sens zarówno pracy fizycznej jak i umysłowej. Czują z obydwo tylko przydatek kapitału. Cenią je tylko o tyle, o ile tworzą one wartość dodatkową.

Redakcja

On (kapitalista) czyni z robotnika istotę bezmyślną i pozbawioną potrzeb, podobnie jak z jego działalności czyni czystą abstrakcję wszelkiej czynności; wszelki zbytek robotnika wydaje mu się z tego względu niegodziwym, i wszystko co wykracza poza całkiem abstrakcyjną potrzebę — bądź jako bierny duch — bądź uewnętrznienie działalności — wydaje mu się zbytkiem. Ekonomia polityczna, ta nauka o bogactwie, jest przeto zarazem nauką o wyrzeczności, o niedostatku, o oszczędności, i dochodzi ona w rzeczywistości do tego, by ograniczyć nawet człowiekowi potrzebę czystego powietrza albo fizycznego ruchu. Ta wiedza wspaniałego przemysłu jest zarazem wiedzą ascezy, i jej prawdziwym ideałem jest ascezyzacja, ale lichwiarskie skąpstwo, i ascezyzacja, ale produktywny niewolnik. Jej ideałem moralnym jest robotnik, który odnosi cięść swojej pracy do kasy oszczędności, wynalazła nawet dla tego swojego umiłowanego pomysł sztuki niewolniczej. Wykorzystano to w sposób sentymentalny w teatrze. Jest ona przeto — nauką rzeczywiście moralną, nauką najbardziej moralną. Jej teza zasadnicza jest samowyrzeczanie, wyrzeczanie się życia i wszelkich ludzkich potrzeb. Im mniej jesz, pijesz, kupujesz książek, chodzisz do teatru, czy na piknik, do karczm, myślisz, kochasz, teoretyzujesz, śpiewasz, malujesz, piszesz wiersze itd. tym więcej oszczędzasz, tym większy będzie twój skarb, którego nie zeżrą ani mole, ani kurz, twój kapitał. Im mniej istniejesz, im mniej uewnętrzniasz swoje życie, tym więcej posiadasz, tym większe jest twoje wyzbycie (entäusertes) życie, tym więcej gromadzisz z twej wyobcowanej (anferndenten) istoty. Wszystko, co ci polityczny ekonomista z życia zabiera i z człowieczeństwa, to wszystko zastępuje ci pieniądze i bogactwem, i tego wszystkiego, czego ty nie możesz, to mogą twoje pieniądze: one mogą jeść, pić, chodzić na piknik, do teatru, znać się na erudycji, historycznych osobliwościach władzy politycznej, one mogą

jechać, one mogą tobie to wszystko przyswoić, one mogą to wszystko kupić; one są prawdziwym majątkiem. Ale chociaż są tym wszystkim, mogą one tylko siebie tworzyć, same siebie kupować, gdyż wszystko inne jest ich niewolnikiem i skoro posiadają pana, posiadają (także) sługę, i nie potrzebują jego usług. Wszelkie namietności i wszelka działalność muszą zaniknąć w żądzy posiadania. Robotnik powinien tyle tylko posiadać, aby mógł żyć, i powinien chcieć tylko żyć, aby posiadać.

Na czym polega więc alienacja pracy?

Po pierwsze, że praca jest wobec robotnika obca, t. zn. nie należy do jego istoty, że on się więc w swej pracy nie potwierdza, ale zaprzecza, nie czuje się dobrze, ale nieszcześliwie, nie rozwija żadnej wolnej działalności fizycznej i duchowej, ale kastruje jego ciało (Physis) i ducha jego rujnuje. Robotnik czuje się przeto dopiero poza pracą u siebie, przy pracy zaś poza sobą. Jest w domu, jeśli nie pracuje, i jeśli pracuje, nie jest w domu. Jego praca nie jest przeto dobrowolna, ale przymusowa, jest pracą przymusową. Nie jest ona zatem zaspokojeniem potrzeby, ale tylko środkiem, aby zaspokoić potrzeby, będące poza nią. Jej obcość występuje w sposób wyraźny tak że, skoro tylko nie będzie żadnego fizycznego lub jakiegokolwiek innego przymusu, praca niby jakaś zaraza, zniknie. Zewnętrzna praca, praca w której się człowiek wyżywia siebie, jest pracą samoświadomości, kastrowania. Wreszcie zewnętrzność pracy ujawnia się dla robotnika w tym, że nie jest ona jego własnością, ale należy do kogoś innego, że nie należy ona do niego, że on przez nią nie należy do siebie, ale do kogoś innego. Podobnie jak w religii samodzielna działalność fantazji ludzkiej, ludzkiego umysłu i ludzkiego serca, działająca na jednostkę, niezależnie od niej t. zn. jako obca, boska lub diabelska działalność, tak też działalność robotnika nie jest jego samodzielną działalnością.

Należy ona do kogoś innego, jest zatratą siebie samego. Dochodzi się zatem w rezultacie, do tego, że człowiek (robotnik) czuje się samodzielnym bardziej w swych funkcjach zwierzęcych, w jedzeniu, pić, w rzeczach, co najwyżej jeszcze w mieszkaniu, w ozdobach itd., w swoich zaś ludzkich czynnościach (czuje) się bardziej, jak zwierzę. Zwierzęce staje się ludzkim i ludzkie zwierzęce.

Picie, jedzenie, rzeczy itd. są co prawda prawdziwie ludzkimi funkcjami, ale w abstrakcji, która je odrywa od pozostałego otoczenia ludzkiej działalności, czyni z niej ostateczny i wyłączny cel, są one zwierzęce.

Rozpatrywaliśmy akt alienacji praktycznej działalności ludzkiej, ludzkiej pracy z dwóch stron: 1. stosunek robotnika do wytworu pracy, jako obcego i panującego nad nim przedmiotu. Ten stosunek jest zarazem stosunkiem do zmysłowego świata zewnętrznego, do stosunków naturalnych, jako do jakiegoś obcego, wrogo przedstawiającego się świata.

2. Stosunek pracy do aktu produkcji w granicach pracy. Ten stosunek jest stosunkiem robotnika do jego własnej działalności, jako do obcej, nie należącej do niego, siła (występuje tu — przyp. tłum.) jako bezsilność, produkcja jako pozbawienie czci, własna energia fizyczna i duchowa robotnika. Jego życie osobiste — czym innym jest bowiem życie jak nie działalnością — jako działalność zwrócona przeciw niemu samemu, od niego nie zawisa, jako działalność nie przynależna mu. Autoalienacja, podobnie jak wyżej alienacja rzeczy...

Podczas gdy wyzbyta praca czyni obcym człowiekowi 1) przyrodę, 2) siebie samego, jego własną funkcję, jego działalność życiową, czyni więc człowiekowi obcym gatunek, czyni z jego egzystencji gatunkowej środek egzystencji indywidualnej. Po pierwsze, czyni ona obcą egzystencję gatunkową i egzystencję indywidualną, i po drugie czyni to ostatnią w jej abstrakcji celem pierwszej, także samo w jej abstrakcyjnej i wyzbytej formie.

Po pierwsze bowiem, praca, działalność życiowa, życie produkcyjne ujawnia się człowiekowi, jako środek zaspokojenia potrzeby, potrzeby podtrzymywania egzystencji fizycznej. Ale życie produkcyjne jest życiem gatunkowym. To jest życie wytworzące życie... W rodzaju działalności życiowej zawiera się cały charakter rodzaju, jego charakter gatunkowy, i wolna świadoma działalność określa charakter gatunkowy człowieka. Życia ujawnia się tylko jako środek do życia.

Zwierzę stanowi jedną z swoją działalnością życiową. Ono nie odróżnia się od niej. Ono jest nią. Człowiek czyni ze swej własnej działalności życiowej przedmiot swej woli i swojej świadomości. Posiada on świadomą działalność życiową. Ona nie jest czymś takim, z czym się na bezpośrednio zlewa. Świadoma działalność życiowa odróżnia człowieka bezpośrednio od zwierzęcej działalności życiowej. Z tego tylko względu jest on zwierzęciem gatunkowym. Albo jest on istotą świadomą, t. zn. jego własne życie jest dlań przedmiotem, z tego właśnie względu, że jest on istotą gatunkową. Tylko dlatego jego działalność jest działalnością wolną. Wyzbyta praca wywraca stosunki w ten sposób, że człowiek z tego względu, iż jest istotą świadomą, czyni ze swej działalności życiowej, środek swojej egzystencji.

Praktyczne wytworzenie świata przedmiotowego, przetwarzanie nieograniczonej natury, stanowi zniszczenie się człowieka jako świadomej istoty gatunkowej, t. zn. jego istoty, która się odnosi do gatunku jako do swej własnej istoty, albo do siebie, jak do istoty gatunkowej. Coprawda zwierzę także wytwarza. Ono buduje sobie gniazda, mieszkania, jak pszczoły, bobry, mrówki itd. Ale ono wytwarza tylko to, co jest bezpośrednio potrzebne dla niego lub jego potomstwa; ono wytwarza jednostronnie, podczas gdy człowiek wytwarza uniwersalnie; ono wytwarza tylko pod naciskiem bezpośrednich potrzeb fizycznych, podczas gdy człowiek produkuje niezależnie od potrzeb fizycznych, i wolny od nich naprawdę dopiero produkuje; jego produkt należy bezpośrednio do jego fizycznego ciała, podczas gdy człowiek przeciwstawia się swobodnie swemu produktowi.

Zwierzę buduje tylko na miarę i według potrzeb swego gatunku, do którego ono należy, podczas gdy człowiek może wytwarzać na miarę wszelkiego gatunku i wszędzie umie nadadć przedmiotowi osobistą miarę, człowiek buduje zatem także według prawa piękna.

W przetwarzaniu właśnie świata przedmiotowego urzeczywistnia się więc dopiero człowiek naprawdę jako istota gatunkowa. To wytwarzanie jest jego produktywnym życiem gatunkowym. Przez nie staje się natura jego dziełem i jego rzeczywistością. Przedmiotem pracy jest więc uprzedmiotowienie gatunkowego życia człowieka: ponieważ w rzeczywistości podwaja się on nie tylko w świadomości intelektualnej, ale produktywnie; z tego względu ogląda on siebie samego w świecie przez siebie stworzonym. Ponieważ zatem wyzbyta praca odbiera człowiekowi przedmiot jego produkcji, przeto odbiera mu ona jego życie gatunkowe. Jego rzeczywiste uprzedmiotowienie gatunkowe i przekształca jego przezwagę nad zwierzęciem w niedosta-

tek, tak że jego nieograniczone ciało, natura, zostaje mu odebrane.

W ten sam sposób ponieważ wyzbyta praca odbiera samodzielność, swobodną działalność, do roli narzędzia pomocniczego, czyni ona z życia gatunkowego człowieka środek jego egzystencji fizycznej.

(Manuskrypt ekonomiczno-filozoficzny, 1844).

*

Przy produkcji niematerialnej, nawet wówczas jeśli jest ona prowadzona dla wymiany, a więc produkuje towary, są możliwe dwa przypadki.

1) Urzeczywistnia się ona w towarach, wartościach użytkowych, które posiadają postać niezależną, samodzielną od wytwórcy i konsumenta, a więc mogą istnieć w interwale między produkcją a konsumcją, jako towary sprzedawne mogą w tym interwale cyrkulować, jak to bywa z książkami, obrazami, krótko z wszystkimi wytworami sztuki, które odróżniają się od działalności artystycznej tworzącej artysty. Produkcja kapitalistyczna może tu zostać zastosowana w ograniczonej mierze. Na ile na przykład pisarz wyzyskuje do zbiorowego dzieła — jakiejś na przykład encyklopedii — masę „innych”, jako nakładca. Pozostaje się tu przeważnie przy formach przejściowych do produkcji kapitalistycznej, gdy różni uczeni i artyści wytwórcy, rzemieślnicy albo (wysoko wykształceni) pracują dla zbiorowego kapitału kupieckiego, księgarzy; stosunek, który z właściwym kapitalistycznym sposobem produkcji nie ma nic wspólnego i nawet formalnie nie jest weń jeszcze włączony. Ze w tych formach przejściowych wyszły praca-

*) Pisarzy — przyp. tłum.

cy jest właśnie największy, nie zmniejsza nic w tej sprawie.

2) Produkcji nie można oddzielić od aktu produkcji, jak przy wszystkich wytwórcach, artystach, aktorach, nauczycielach, duchownych itd. Także tutaj znajduje się produkcja kapitalistyczna w ograniczonym zakresie i może się znaleźć, dzięki naturze rzeczy, tylko w pewnych sferach. Na przykład, w zakładzie wychowawczym mogą nauczyciele być dla właściciela zakładu wychowawczego tylko najemnymi robotnikami, podobnie jak tego rodzaju fabryki wychowawcze istnieją w Anglii. Chociaż nie są oni w odniesieniu do uczniów żadnymi produktywnymi robotnikami, są nimi w odniesieniu do ich przedsiębiorcy. Wymienia on swój kapitał na ich siłę roboczą i wzbogaca się dzięki temu procesowi. Podobnie jest w przedsiębiorstwach teatralnych, w lokalach rozrywkowych itd. Publiczność zachwycuje się tu w odniesieniu do aktora jak do artysty, ale w odniesieniu do swego przedsiębiorcy jest on produktywnym robotnikiem. Wszystkie te zjawiska produkcji kapitalistycznej są tak nieznaczne, w porównaniu z całością produkcji, że mogą pozostać całkowicie nieuwzględnione.

*

Tym samym zostało bezwzględnie ustalone, co to jest praca nieproduktywna. To jest praca która nie wymienia się na kapitał, tylko bezpośrednio na zyski, więc na placę roboczą, lub dochód, naturalnie także na rozmaite działy, które partycypują, jako udziały w dochodach kapitalisty, jak procent i renta. Tam gdzie cała praca częściowo sama się jeszcze opłaca, jak na przykład praca rolna chłopów pańszczyźnianych, częściowo wymienia się na dochód.

jak praca manufakturowa w miastach w Azji, nie istnieje żaden kapitał i żadna praca najemna w znaczeniu mieszczańskiej ekonomii. Te określenia nie zostały więc wzięte z materialnego wysiłku pracy, ani z natury jej produktu, ani z działalności pracy jako pracy konkretniej, ale z określonych form społecznej, ze społecznych stosunków produkcji, w których się one urzeczywistniają. Aktor na przykład, nawet kłown, jest zatem produktywnym robotnikiem, skoro pracuje na usługi kapitalisty (przedsiębiorcy) któremu oddaje więcej pracy, aniżeli otrzymuje od niego w postaci płacy roboczej; podczas gdy istacz, który przychodzi do kapitalisty do domu i lata mu jego spodnie stwarza mu tylko wartość użytkową, jest robotnikiem nieproduktywnym. Praca pierwszego wymienia się na kapitał, drugiego na dochód. Pierwsza stwarza wartość dodatkową, w drugiej zużywa się do chodu.

Różnice między pracą produktywną i nieproduktywną można tu odnieść tylko z punktu widzenia posiadacza pieniędzy, kapitalisty, nie zaś robotnika, i dlatego szaleństwo Ganiha itd., którzy tak mało rozumieją sprawę, że pytają czy praca, albo funkcja prostytutki albo lacinia itd. przysparzają pieniędzy. Pisarz jest produktywnym robotnikiem, nie w tej mierze w jakiej produkuje idee, ale w tej mierze, w jakiej wzbogaca księgarza, który zajmuje się jego, albo w tej mierze jest on robotnikiem najemnym kapitalisty.

(Teorie nadwartości).

Tłum. K. S.

*) Tłumaczenie wg. „antologii „Marx und Engels über Kunst und Literatur”, Berlin, 1949.

LUCJAN RUDNICKI

„Z A G R A

Było już koń trzeciej, gdy myjąc w rowie przydrożnym ręce i policzki, rozpalone tyłu zmieniami wrażeń, poczułem głód do omdlenia. Pożywszy się na przedmieściu chlebem za dziesięć centów ruszyłem w radosny nastrój w głąb miasta. Niestety, zaczęły się trudności. Kilkanascie zapytanych osób nie tylko nie umiało wskazać adresu jakiegokolwiek organizacji robotniczej, ale nie wiedziiano nawet czy one w ogóle istnieją. Gdy nareszcie o zmroku dotarłem do lokalu związku zawodowego potraktowano mnie bardziej niż oziołb.

— A księżka członkowska jest? — pytał zazwyczaj kolega z wygiętymi nogami i twarzą czerwoną od śliwicy.

— Nie... Ja... ja z Królestwa...

— To już trudno. My tu takich co tydzień mamy. Jak do należenia, to ich nie ma, a po zapomogę, jak w dym...

— Ależ ja nie proszę o zapomogę...

— A co chce?

— Przyjechałem, nie znam stonków, szukam swoich...

— Tu są zorganizowani towarzysze — wypowiedział energicznie przywódca takim tonem jakby miał przed sobą cały lumpenproletariat.

Zbladłem ze zniewagi, a rzuciwszy wzrokiem na krzywy portret Marksa z dwiema czerwonymi chragielkami nad nim, spościłem się ze wstydu. Kilku obecnych związkowców patrzyło w ziemię pod wpływem podobnego uczucia, ale nikt nie miał odwagi przeciwstawić się prezesowi i nikt się nie ruszył, gdy opuściliśmy lokal.

W przyrodzie wiosna, na ulicach radosny gwar, wszystko w koło płynie swoją koleją, tylko ja znalazłem się gdzieś poza ziemią: zbyteczny, przeszkadzający drugiemu. Potrącony na wąskim chodniku przez przechodniów idących pospiesznie, włókłem się w nieokreślonym kierunku tuż przy rynnku, aż niespodzianie wyszedłem na szeroki zieleniec, bezludny w tym miejscu. Ciepły wiatr koł i podnosił na duchu. Cóż, są trudności, nie natrafiałem na swoich, ale mam przecież jeszcze dr. Gumplowicza. Dziwię się, dlaczego nie rozpocząłem od niego. Zegar wydzwania osmą i... Anieli niebieski! skądś z góry płynnie kurant (czyżby zegarowy), w którym lek z tęsknotą się wplata. Pytam o drogę, przyspieszam kroku. Przybyłem do celu koło dziewiątej. Zbadany przez pokojową, kto i po co, stanąłem przed obliczem pani doktorowej:

— Z Królestwa? Dzierżanowski? Kto to jest... Aha! Proszę. Bardzo jest mój mąż ucieczy, zapewniała głośno, patrząc z niechęcią na mą wyszarżalą postać. — Dobrze się składa, za chwilę herbata u nas, nie przeszkodzi mi to w pracy, bardzo jest zajęty.

— A może i tak przeszkadzam?

— Nie, nie, mój mąż bardzo się ucieczy, proszę spocząć.

Duszo mi się robiło od samego tonu „mój mąż”, a gdy zobaczyłem siebie na tle oświetlonej jałdali, przy śnieżno białym nakryciu zaczęło mi tchu brakować. Czy by nie uciec, myślałem, jeno nie

było gdzie. Ale zaraz ukazało się rumiane oblicze doktora, okolone bujnym owłosieniem.

— Witam, rzekł przyjaźnie, wyciągając rękę na przywitanie jak sakrament.

Po kilku zdaniach wyjaśnień doktorstwo wyraziło oburzenie na brutalną praktykę policji. Podsunęło mi pieczywo, masło, wędlin i przestało zwracać na mnie uwagę. Rozmowa się urwała. Ciszę przerywał miłosny szczebiot pani żony.

— Władeczku, jeszcze ten kawałek, prawda, smaczny. Władeczku, popij, może więcej mleka. Jeszcze to, Władeczku, ser z handlu Rat-taja. Władeczku...

Pani nie jedząc kroila, smarowała, kładła, przekładała, siodłała, posypywała i omal nie wciśkała w usta swemu uczonemu mężowi poszczególnych kasków. Mąż zresztą apetyt miał dobry. Mimo pewnej beznadziei na wstępie dosyć dokładnie żuł, polykał, obcierał obrosnięte usta, poprawiał szkła na nosie, chrząkał i znowu od początku się zaczynało. Nie mogłem się pozbryć myśli, że patrzę na pieśczołcha pudła. Dobrze wychowany nie warczy, ale z odrazą kręci nosem, czując w pobliżu brudnego gościa podwórzowego pochodzenia. Niesłusznie. Doktor był głodny, gdy się najadł i obtarł ostatecznie owłosienie, rozjaśnił się dziecięcą radością. Naprawdę był zadowolony z mego wizyty. Pracował od jakiegoś czasu nad zagadnieniami niepodległości Polski, jako czynnik cywilizacji europejskiej, więc specjalnie byli mu potrzebni praktycy społeczni, zwłaszcza z Królestwa, którzy uczony uważał za główny ośrodek doświadczeń.

Po kilku wstępnych grzecznościowych zdaniach poczęł metodycznie pytać o stan duszy chłopiec, o wyniki walki, toczącej się między rządem najędźszym a społeczeństwem, o wpływy socjalizmu na wieś i „resdectwa” na robotników, o próby zjednoczenia wszystkich warstw narodu w walce o niezawisłość. Po moich odpowiedziach, które całkowicie potwierdzały socjologiczne założenia doktora, rozmowa zamieniła się w potok gorących wyznań: dopełniały się uczucie z rozumem, teoria z praktyką, doktryna z osobistymi przeżyciami.

— Nie ma wątpliwości — uogólniał Gumplowicz, lud polski dojrzewa do wielkiej misji i odbuduje państwo polskie, inaczej należało by przypuszczać, że cały świat się uwestczy.

Zapomniałem o wszystkich osobistych troskach. Patrząc w ożywione oblicze towarzysza chciałem jeszcze z uszanowaniem opowiedzieć jak to nawet najbardziej ciemni robotnicy Zagłębia, gotowi są do ofiar, gdy odezwali się pieściotliwy głos pani domu.

— Władeczku, lampa prześliczna, oprawiona.

Oblicze uczonego rozjaśniło się uśmiechem wdzięczności. Powstałszy od stołu.

— Proszę zająć jeszcze do nas przy sposobności, mój mąż będzie rad — zapraszała pani doktorowa szczerze, a ja pośpiesznie wycofywałem się ku drzwiom, żeby nie było skompromitować, bo oczy wilgot-

niały niebezpiecznie. Dopiero na Plantach puściłem wodzę uczuciom. W beznadziejnym opuszczeniu rozplakałem się rzewnie, jak w dzieciństwie, po dotkliwej lecz zasłużonej karze. W głębokim wstrząsie był żal do ludzi, ale przede wszystkim wyrzuty sumienia za samowolne opuszczenie placówki w kraju. Trwało to kilkanaście minut i nagle wszystko się we mnie wywróciło. Wpadłem w gniew, wydałem się sobie śmieszny, głupi, i niemiły.

Pozdrowilem socyście wszystkich doktorów nauk społecznych, poprawilem czapkę, splunąłem z determinacją i ruszyłem zamasyście naprzód, jakbym się obawiał, że nie zdąży na czas do celu, a miałem przed sobą całonocny spacer. Przekroczyłem trzy duby, notując do dwunastej na dworcu a następnie gdzieś się dało, od miejskich ławek do podciętych kościelnych. W ciągu dnia szukałem pracy na próżno. Chciałem się zaangażować w końcu choćby na pomywacza w restauracji i tyle tylko zyskałem, że mnie nakarmiono dwa razy. Zaczynało być ciężko: zziębnięty, przemoczony ledwo się na nogach trzymałem z przemęczenia i od obłąkanych odcisków w mokrych butach. Ale najcięższe było uczucie wstydu. Nie umiałem sobie radzić nie gdzieś w obcym kraju, lecz w polskim Krakowie. „Do Krakowa jak zapalił, a z Krakowa jakby w pysk dał!” Decydowałem się już na odwrót, z konieczności, do Sulejowa. Najpierw do granicy o zebrania nie stał, po kilku dniach aresztu za nielegalne jej przejście, ciupasek do Piotrkowa i matki. Złoty paszport w razie przestępstwa automatycznie torował drogę do miejsca urodzenia. Właśnie zbliżałem się wczesnym rankiem do pierwszego spotkanego mostu, aby przejść na wschodnią stronę Wisły, gdy usłyszałem, jak się to dzieje w powieściach, swój łódki pseudonim. Zagroził mi drogę na Dębinki Roman Galski, jeden z najbardziej czynnych i zaufanych członków organizacji łódzkiej. Mieszkanie Galskiego było klubem robotniczym, znanym generacji partyjnej w kraju i za granicą. Jeżeli ktoś przyjeżdżał do Łodzi, aby nawiązać stosunki po jakimś rozgromie, rozpoczynał misję od Galskich. Zawsze Biały lub Biały (pseudonim małżonków) najdokładniej załatwili sprawę. Przy tak niebezpiecznej sławie sprzyjało im szczęście. Trzy razy już były prowokatorskie fale w łódzkiej ześpół partyjny nie docierając do ich domu. Trzy „likwidacje” to jakby trzy pokolenia ruchu rewolucyjnego następujące po sobie. Ja należałem do czwartego. — A jednak ciężar doświadczenia wcale nie zmniejszał zapału Galskich. Gdy na przystanku zebrań, urządzanych w ich szerokiej izbie, w niedzielę po południu towarzyszy Biały poprawił wąsy, chrząknął i mocnym głosem huknął: „Czegoś chcą oni!” wszyscy obecni czuli wstręt do gromadzenia i przezwania poziomych bogactw i wszyscy stawali się arystokratami ducha. A przy śpiewie planissimo „Na barykady!” Biały z przejęcia stawała się najmłodszą.

Dojrzał jednak i oni w końcu do „likwidacji”. Galskiego aresztowano na początku roku 1902 i po kil-

Witold Wirpsza

Pięciolećni

W Szczecinie, odległym od Warszawy o pięć kilometrów, pięciolećni układa z klocków Trasę W — Z.

Tędy — powiada — jeżdżą samochody, a ten długi kłosek — to Śląski Most. Tutaj — powiada — jest Pałac Pod Blachą, a tu — ustawia kłosek pionowo — stoi Kolumna Zygmunta.

Potem zastanawialiśmy się we dwójkę, jak wybudować Zamek; lecz nie starczyło nam klocków i trzeba było Zamek narysować na kartonie.

Z małych klocków pięciolećni wybudował domki: tu jest Rynek Mariensztacki i w środku fontanna. A tu — pokazał palcem czerwony graniastosłup — będę mieszkiał z moją narzeczoną.

Będziesz mieszkiał pięknie, synu, będziesz mieszkiał pięknie! Pierwsza twa miłość, chłopcze, będzie bogatsza, niż moja, wprowadzisz swoją dziewczynę pod lepiej sklepiony dach.

Witold Wirpsza

MARIAN NIEWIAROWSKI

HISTORIA JEDNEGO ŻYCIA

I.

„Rodzina nasza — zaczyna swoją opowieść Bronisława Switonik — to rodzina tkaczy i przędzalników. Wyrosliśmy w Łodzi, a młodość każdej z moich siostr i braci wyeksploatował Scheibler i Grohman. Ojciec mój przyjechał do Łodzi z Poznania, gdzie był bezrolnym chłopem, a matka również pracowała we dworze. Nikt z nas nie mógł ukończyć żadnej szkoły. Nie było na to środków, trzeba było dzieciem jeszcze zarabiać na życie. I tak Maria najstarsza moja siostra, została tkaczką. Brat Andrzej, początkowo również tkacz, został potem robotnikiem na plan-tach miejskich, Antoni, który zmarł, był również przędzalnikiem. Helena młodsza siostra jest również tkaczką, Józefa zaś przędzą.

„Pamiętam jeszcze jak stary Scheibler chodził po salach z kijem i gdy tylko zobaczył odpoczywającą lub stojącą chwilowo beczynnie robotnicę, zaraz walił, gdzie popadło tym kijem.

„Było nas 13 osób w rodzinie. Mieszkałymi w jednym pokoju szerokości 4x4,5 metra. Sienniki kładło się na podłodze i spało się po kilka na jednym sienniku.

Miałam lat czternaście, gdy pierwszy raz przestąpiłam próg wielkiej fabryki Scheiblera. Sióstrzeniec mój rozpoczął swój robotniczy staż mając lat 10. Ojciec nosił małego na plecach do pracy, bo przez zaspę śnieżną maty nie mógł sam przejść.

Zaczęłam pracować na przedziałni „Kiszęj młyn”. Pracowałam dziennie 10 godzin a niekiedy i więcej. Wstawałam o piątej rano (do

fabryki miałam daleko) i pracowałam od wpół do siódmej do szóstej wieczorem bez przerwy. Jako robotnica pomocnicza wykonywałam bardzo ciężką pracę fizyczną. Musiałam nosić szpule, niedopięte, omiatać, pucować, czyścić, obciągać — nie miałam ani jednej chwili wolnej, żeby zjeść śniadanie. Na śniadanie zaś miałam kawałek chleba bez żadnej omasty. W domu, gdy powracałam, jadłam kartofle, niekiedy barszcz, jakiś żurek. Miesiąc jadłam raz na tydzień, albo na dwa tygodnie. Ojciec zarabiał tyle, że ledwo wystarczało na utrzymanie. Mimo licznej rodziny, ojciec nie otrzymywał żadnego dodatku rodzinnego.

Przyznam się, że nie pamiętam z czasów mojej młodości ani jednego dnia sytego.”

*

Młode robotnice, uczennice Szkół Przeprosobienia Przemysłowego, które wychowywały się w nowoczesnych urządzeniach internatów, do których nasze państwo ludowe dba i bezpłatnie daje utrzymanie i naukę, nie mają zupełnie pojęcia o tamtych czasach i ówczesnych warunkach życia i pracy. Młoda dziewczyna, która wówczas dostąpiła łaski utrzymania pracy na fabryce stała się automatycznie dodatkami do maszyn i kapitału. Wyzyskiwała ją w pierwszym rzędzie fabrykant (płaca (nie)słyszalnie niskie stawki), starając się za każdym razem obniżyć wynagrodzenie. W całym przemysle włókienniczym ówczesnego Królestwa Polskiego ogółem zatrudnionych było 165.660 robotników. Na przemysł bawełniany przypadała większość bo 69.263, z

tego mężczyzn 29.986, a kobiet 31.050. Młodocianych chłopców było 5585, młodocianych dziewcząt 5641. W tej ostatniej liczbie mieściła się również młodość towarzyszk Bronisławy Switonik, spędzona przy wrzecioniarce, stracona w pracy i wysiłku dla kapitalisty, który z jej i tysięcy innych pracy nabijał sobie kiesę, napieniał safety w bankach szwajcarskich, zbierał złote ruble, obdzierając robotników przy produkcji i okradając przy sprzedaży.

Od wczesnej młodości uczyły się poznawać i widzieć wroga, poznawać i widzieć przyjaciół. Widziały wroga w carskim zgniłym ustroju, który stał się więzieniem dla wszystkich narodów. Widziały wroga w rosyjskim i niemieckim, w polskim i żydowskim kapitaliście, którzy tuczyli się krwią robotniczą. Ale umiały dostrzeć i widziały przyjaciół w rosyjskim robotniku, tak samo jak i one, wyzyskiwanym i walczącym z caratem. Widziały przyjaciół i w niemieckim i żydowskim tkaczku i wyrobniku żyjącym w takiej samej jak i one poniewierce i nędzy. Wyrabiała się i rosła w nich świadomość klasowa w strajkach i rewolucyjnych wystąpieniach. Brat towarzyszk Bronisławy Andrzej za udział w ruchu rewolucyjnym został skazany na trzy lata katorgi. Brat Antoni również za udział w ruchu rewolucyjnym otrzymał 5 lat. Zesłani do gubernii tomskiej po pewnym czasie uciekli stamtąd i ukryli się. Wychowywała się w domu, w którym pielegnowano i czczono tradycje rewolucyjne i w którym walka o wyzwolenie społeczne i polityczne stała się chlebem codziennym. Jeszcze jako ośmiolet-

niej dziewczynce dawano jej do przenoszenia ulotki rewolucyjne. Na dziecko żandarmeria nie zwracała uwagi. Ich dom był punktem noclegowym dla działaczy rewolucyjnych i nieraz gościł tajemniczych konspirantów, chroniąc ich przed przesładowaniami.

Gdy w naszym kraju po drugiej wojnie światowej nastał czas swobodnej pracy dla siebie, gdy szeroki nurt współzawodnictwa i podwyższenia wydajności pracy objął wszystkich robotników przemysłu, gdy zaczęły wyrastać nowe postacie bohaterów pracy, nowatorów i racjonalizatorów, których państwo odznaczało najwyższymi orderami — przyjeżdżały i do Łodzi delegacje robotników radzieckich, najlepszych stachanowców. Opowiadali nie tylko o swoich obecnych produkcyjnych rekordach, o obecnych swoich osiągnięciach i obecnym swoim życiu, które zawdzięczały ustrojowi radzieckiemu. Mówili nie tylko o planach, które mają zamiar zrealizować i które na pewno zrealizują z nadwyżką. Mówili też o swojej przeszłości, o przeszłości swoich matek i ojców, którzy pamiętają jeszcze czasy krwiopicznej wyzyskiwacza Morozowa. Bronisława znajdowała w tych opowiadaniach jak gdyby swoje własne życie i życie swojej rodziny. Oto co opowiadała wrzecioniarce „Nowogrobieńskiej Fabryki Głuchowskiego Bawełnianego Kombinu im. Lenina”, obecnie jedna z najlepszych przodownic pracy, Lubow Ananiewa:

„Nie doświadczyłam na sobie niewoli pracy dla kapitalistów, gdyż zaczęłam pracować w roku 1930, ale znam życie dorewolucyjne Głuchowki z opowiadań starych robotników i mojej matki, emerytki, z opowiadań babki i prababki, która oddała fabryce 35 lat swego życia. Mając lat czternaście wstąpiła ona do pracy na fabryce włókienniczej i za 30 marnych kopiejek w dzień pracowała od świtu do ciemnej nocy. Ciągle marzyła o tym, aby zostać kwalifikowaną wrzecioniarą, ale ciągle pracowała jako pomocnicą. Bardzo długo pracowała moja matka jako pomocnicza robotnica: nie miała pieniędzy żeby wsunąć nadzorcę tapówkę. Dozorca nikogo nie postawił przy maszynie, jeśli przed tym robotnica w należyty sposób nie odzwajmniała się...

Tak więc matka nie chcąc się poddać woli znienawidzonego dozorca i nie mając pieniędzy aby ulaskawić go, przeszła do innej fabryki, gdzie otrzymała po długich latach pracy najniższą kwalifikację.”

Lubow Ananiewa opowiadała, a myśmy wszystkie słuchały i porównywały swoje dzieciństwo i swoją młodość. Porównywałyśmy przeszłość naszych rodziców i widziałyśmy jak gdyby naczynie: wszędzie w krajach kapitalistycznych fabrykant wyciska ostatnie soki z robotnika, a potem gdy już go wykorzysta, rzuci go na bruk, jak niepotrzebną szmatę...

„Wspominałam swoją sióstrzeniec — ciągnie dalej tow. Bronisława — która musiała naszą fabrykę opuścić, bo majster, który często stosował te metody wobec bardziej pokornych i bezradnych robotnic, (miał do tego specjalną komórkę, gdzie zmuszał robotnicę do uległości), domagał się od sióstrzenicy, aby mu się oddała. Sióstrzenica moja nie chcąc zadość uczynić żądaniom majstra, musiała fabrykę opuścić i szukać gdzie indziej roboty. Długo była bezrobotna...”

„Warunki życia i pracy na Głuchowie — opowiada nam Ananiewa — były nieznosne. Po długim i wyczerpującym dniu pracy robotnice wracowały do koszar (nie miały własnych mieszkań) a w koszarach padały na łóżka. Nie było w ogóle mowy, by gdzieś można było odejść, odpocząć. Młode dziewczęta spały na narach, które jednocześnie służyły im za stół i krzesła...”

Nie lepsze było położenie i w koszarach dla rodzin robotniczych. Koszary te składały się z niedużych pokojów, w których mieściło się po kilka rodzin, lub po kilkanaście (13—15) osób...”

„Ananiewa opowiadała — ciągnie tow. Bronisława — a ja wspominałam swoje dzieciństwo, swoje warunki życia, naszą rodzinę i 13 osób w jednym pokoju...”

Wspominałam swoje głodowe płace, które ledwo wystarczały na jedzenie, ponieważ i życie z łaski kapitalisty, od którego zachcianek zależała wtedy moja praca, moje utrzymanie, mój los.

I rosła moja nienawiść do wszystkich kapitalistów i wyzyskiwaczy, jakiegokolwiek byłby maści w jakimkolwiek kraju jeszcze wyzyskujących naszych braci robotników...”

Pierwsza wojna światowa nie przyniosła żadnych szczególnych zmian w życiu Bronisławy, oprócz zwiększonego głodu.

W roku 1918, gdy w wyniku rewolucji październikowej powstała do życia niepodległa Polska, wladzę w niej uchwycili kapitaliści i obszarzy. Ustał co prawda ucisk narodowy (nie zniknął on dla robotników innych narodowości, zamieszkujących obszary ówczesnej Polski), ale ucisk klasowy i wyzysk trwał w dalszym ciągu i pod naporem wzrastających sprzecznosci ustrojowych zwiększał się stale. Nastąpił okres panowania rodzinnego i zagranicznego kapitału.



Switonikowa Bronisława przodownica pracy — obecnie kier. wyd. socjalnego P.Z.P.B nr 1 w Łodzi

Od razu po powrocie do kraju (była wywieziona przez Niemców na roboty) Bronisława znalazła się na bruku bez pracy. Długo była ciężarem swej własnej rodziny. „Gdy porównuję obecny okres odbudowy z ówczesnym okresem pierwszej niepodległości — mówi tow. Bronisława — aż dziw bierze, jak ludzie inaczej pracują dla siebie i dla własnego kraju i swej własnej wladzy, a jak zółwim tempem szła wtedy odbudowa przemysłu pod rządami kapitalistów”. I rzeczywiście jeśli przyjmiemy ilość czynnych wrzecion z roku 1914 za 100 (mówię o wrzecionach cienkopędnych) to w pierwszych latach niepodległości stopień uruchomienia wynosił około 43 proc., a najwyższy wskaźnik 55 proc. Jeszcze gorzej miała się sprawa z wrzecionami odpadkowymi i wigonowymi, których wskaźnik uruchomienia wynosił jeszcze w roku 1927 60 proc. Podobnie było z krosnami bawełnianymi, mechanicznymi. Równolegle rozwijało się zatrudnienie. Maszyny stały beczynne, a po ulicach wałęsały się rzesze bezrobotnych. Z ogólnej ilości 64 tys. zatrudnionych w roku 1914 robotników w przemyśle bawełnianym — w roku 1926 zatrudnionych było tylko 48 tysięcy.

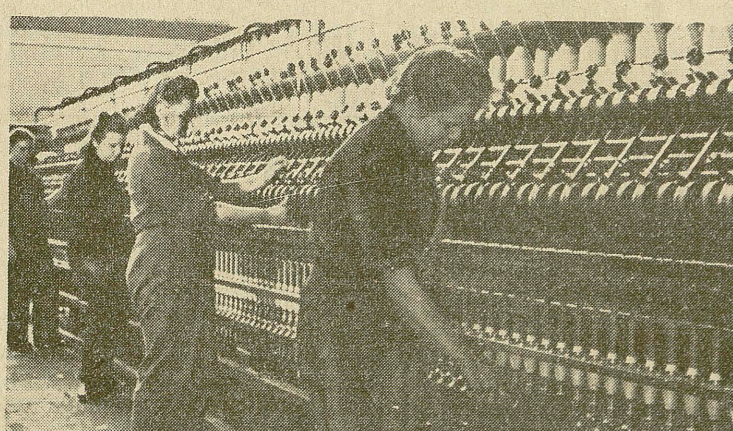
Siedmiomilowymi krokami zbliżała się nieuchronny towarzyszy ustroju kapitalistycznego — kryzys. Dla robotników oznaczało to jeszcze większą nędzę i pauperyzację; dla wielkich fabrykantów — większe zyski.

Grupa specjalistów wyznaczonych przez ówczesny rząd do zbadań stanu produkcji i warunków w przemyśle bawełnianym orzekła w roku 1938 (Pamiętajmy — rzecz dzieje się 10 lat po odzyskaniu niepodległości).

„Przemysł włókienniczy ośrodka łódzkiego nie doszedł jeszcze do stanu uruchomienia w rozmiarach przedwojennych, jedynie ilość wrzecion czesankowych osiągnęła i to dopiero w 1927 stan przedwojenny.”

Liczba czynnych krosien w okręgu łódzkim w ciągu ostatniego roku dosięgła zaledwie 30 proc. uruchomienia przedwojennego i na razie nie wykazuje tendencji do powiększenia. Jeszcze gorzej przedstawia się uruchomienie w okręgu białostockim. Liczba zatrudnionych robotników od roku 1923 posiada raczej tendencję malejącą.”

W roku 125 na ogólną ilość zatrudnionych w przemyśle włókienniczym 132.235 robotników ilość bezrobotnych poszukujących pracy wynosi 32.105. Przy końcu tego roku ilość robotników zatrudnionych w tymże przemyśle zmniejsza się do 101.372, a liczba poszukujących pracy zwiększa się do 51.735 ludzi. A jak zatrudnieni byli ci, którzy mieli



W P.Z.P.B. nr 1 w Łodzi

szczęście otrzymać pracę, świadczy fakt, że w styczniu 1925 roku liczba przeciętna przepracowanych tygodniowo robotników w miesiącu wynosiła jeszcze 5.195, a już w grudniu tego roku wynosiła 3.115...

„I ja również pracuję wtedy dwa albo trzy dni w tygodniu — mówi tow. Bronisława. Żyję w nieustannym głodzie, gdyż płace zaledwie wystarczają na utrzymanie się tylko w ten dni przepracowane. Korzystam znowu z pomocy rodziny, której położenie staje się również coraz gorzej. Nie znajduję teraz słów, aby opisać moje ówczesne przeżycia. Ci którzy kiedykolwiek byli bezrobotni, doskonale rozumieją moją sytuację. Wyszłam wtedy za mąż, za robotnika z naszej fabryki i przerwałam pracę gdyż było to ponad moje siły. Gdy

urodziłam dziecko nie chcieli mnie przyjąć z powrotem, zostałam bez pracy z dzieckiem przy piersi. Nie mieliśmy co jeść. Sprzedaliśmy obrączki ślubne, zegar ścienny, ubranie. W poszukiwaniu pracy mój mąż spędzał cały dzień poza domem. Chodząc po Łodzi w poszukiwaniu pracy, zaziębił się i dostał gruźlicę gardła. Nie było pieniędzy na lekarza, a jako bezrobotnemu nie przysługiwała mu Kasa Chorych. Mając lat dwadzieścia siedem mąż mój umarł, a w krótkim czasie z powodu złego odżywiania zachorował również mój jedyny synek, Stasio. Nie było pieniędzy na lekarza, ani na lekarstwa i patrzyłam beznadziejnie jak dziecko ginie w moich oczach.

I tak zmarł również mój kochany Stasio, mając już trzy lata.”

W tym samym czasie Komisja, o której już wspominałam pisała *):

„Według statystyki miejskiej miasta Łodzi liczba zgonów, których przyczyną stanowi gruźlica stale zajmuje pierwsze miejsce. Odsetek zgonów spowodowanych gruźlicą, wynosił w roku 1926 — 16,9 proc. Na 100 tys. mieszkańców Łodzi 237 umierało na gruźlicę. Rozpatrując liczbę wieku i płci, możemy stwierdzić, że gruźlica jest przyczyną zgonu młodzieży oraz kobiet w okresie ich największej zdolności wytwórczej...”

Po wejściu hitlerowców do Łodzi zaczęły się masowe przesładowania. Łepanki urządzone przez żandarmerię, obławę i rewizję, aresztowania i rozstrzelania, deportacje do obozów koncentracyjnych — tysiące zabitych i zaginionych bez wieści i na zawsze straconych — oto bilans działalności faszystów.

Bronisława otrzymuje wezwanie do Arbeitsamt. Dzień przed tym idąc za rąda doświadczona koleżanka nasypuje sobie do oczu troche sproszkowanego, zmielonego tytoniu. Całą noc powtarzała tę operację. Nad ranem ma tak zaczerwienione oczy, że sama się przestraszyła.

Gdy zjawiała się na komisji, Niemiec ujrawszy ją z daleka zaczął krzyzczeć:

— Wek, wek, jaglica, jaglica. Dzięki temu podstępowi uniknęła wywózki do Niemiec. Potem 3 miesiące musiała się leczyć na oczy. Groziła jej ślepota.

Któż opisał radość pracującej Łódzkiej, gdy do miasta zaczęły się zbliżać czołwki Armii Czerwonej, niosącej swobodę i wyzwolenie spod ucisku faszystów. Gdzie znajdzie się artysta aby opisać tamte niezapomniane chwile. Kobiety całowały przechodzących żołnierzy, zarzucając ich kwiatami, ludzie chodzili jak pijani, nie zdając sobie jeszcze sprawy z ogromu wielkich nadchodzących przemian.

Gdy zjawiała się na komisji, Niemiec ujrawszy ją z daleka zaczął krzyzczeć:

— Wek, wek, jaglica, jaglica. Dzięki temu podstępowi uniknęła wywózki do Niemiec. Potem 3 miesiące musiała się leczyć na oczy. Groziła jej ślepota.

Któż opisał radość pracującej Łódzkiej, gdy do miasta zaczęły się zbliżać czołwki Armii Czerwonej, niosącej swobodę i wyzwolenie spod ucisku faszystów. Gdzie znajdzie się artysta aby opisać tamte niezapomniane chwile. Kobiety całowały przechodzących żołnierzy, zarzucając ich kwiatami, ludzie chodzili jak pijani, nie zdając sobie jeszcze sprawy z ogromu wielkich nadchodzących przemian.

Gdy zjawiała się na komisji, Niemiec ujrawszy ją z daleka zaczął krzyzczeć:

— Wek, wek, jaglica, jaglica. Dzięki temu podstępowi uniknęła wywózki do Niemiec. Potem 3 miesiące musiała się leczyć na oczy. Groziła jej ślepota.

Któż opisał radość pracującej Łódzkiej, gdy do miasta zaczęły się zbliżać czołwki Armii Czerwonej, niosącej swobodę i wyzwolenie spod ucisku faszystów. Gdzie znajdzie się artysta aby opisać tamte niezapomniane chwile. Kobiety całowały przechodzących żołnierzy, zarzucając ich kwiatami, ludzie chodzili jak pijani, nie zdając sobie jeszcze sprawy z ogromu wielkich nadchodzących przemian.

— Tak, tak, żeby nie to, byłbym już majtrem w Gostynińskiego a chodzę bez butów...”

— Andrzeju, nie jest znowu tak źle — próbowała go hamować Biała, będąca jednego zdania z nami, ale biorąc w obronę Galusa z wdzięcznością za okazaną jej szczególną opiekę w Łodzi po aresztowaniu męża, Galus, nie nie rozumiejąc w swej gruboskónej prostocie, zachowywał się jak awanturnik, nie proszony na zabawie. Nie można było odnaleźć kontaktu aby go włączyć do naszego grądu.

*) Fragment II tomu „Stare i nowe”.

N I C A " *)

kunastumiesiecznym więzieniu w Łęczycy oddano go pod dozór policji w Częstochowie. W przewidywaniu cięższych zarządzeń, w razie wykrycia bardziej ważkich faktów z ich działalności, Galski wyjechał do Krakowa.

Okazało się, że i tu na emigracji w nędznych warunkach materialnych, Galscy nie przestawali być placówką. W ich małej izdebce na Debnikach zastaleni troje gości z Królestwa: Andrzej Galus, towarzyszk z Żyrardowa, poetkę robotniczą, wdychającą do sprawiedliwości, przeczułoną na „cierpienia proletariatu” i beznadziejną na własną niedolę. Biała widokiem moim wzruszyła się do łez:

— I wy tutaj?! Cała Polska chyba do tej Głodomieri ściągnie. Tu wam nie Łódź, moi kochani, zarobek reński dziennie, a kupić można za niego ile u nas za dwa złote.

Galska przysięgnęła mi nie do swej ciasnej izdebki jak syna. Wymieniła się grzecznie w narożniku pokoju za przesieradami zawieszonym na sznurku. Otrzymałam czystą bieliznę, i owinęty w koc czekałam na ukończenie dezynfekcji odzieży. Przeprowadzała ją gospodyni rozpalonym żelazem przez mokre płótno. W ciągu dwóch godzin stałam się równouprawnionym członkiem komuny królewskich w Krakowie.

Galski pracował w krakowskiej fabryce szrotek i dziś przy sobocie czekałymi wszyscy na jego przyjeździe z tygodniówki. Przyszedł z bochenkiem chleba pod pachą i kaszanką w kieszeni. Z okazji mego „przyjazdu”, mówił, powinno się było znaleźć coś do wypicia, ale nie w Głodomierii.

Siedliśmy do wczierzy na czym kto mógł, na wywróconym wiadrze i na parapecie okna. Gospodyni z poetką rozstawiały serwis, składający się z trzech fajansowych kubków, jednej szklanki, obłamanej wazowej tyżki, blaszanego półkwańca i butelki od piwa oberżniętej szpagatem. W środku nakrycia bluszczem duży blaszany wrzaski z imbrykiem na wierzchu. Zaczęła się uczta nad uczciami. Byliśmy tak wrzuceni bliskością siebie, jakbyśmy się spotykali nie w Krakowie lecz na bezludnej wyspie.

— Wiecie, towarzysze — zwierzał się z przejęciem Galski — tak razem z wami, to jakbym na weselu siedział. Bo się mówi: bida, ale największa jest wtedy, gdy nie ma do kogo gdyby otworzyć. Tu wam, drodzy każdego naszego w podejrzeniu mają: złodziej, socjalista albo jedno i drugie razem. Tam u nas, gdzie byś nie był, jak zacznieś mówić, wszyscy zjedliby cię oczami, a tu się każdy w kulak śmieje. Słowo daje, gdy przy robocie przez kilka dni słyszał tylko o Józ, Marynie zapragnęłam wrócić. Nie uwierzyłem, zatuszowałam do ruskiego żandarma.

Co do żandarmów, to naprawdę nas bardziej po ludzku wyglądają niż ci tutaj kaci z wystraszonymi nozami na karabinach — zwierzał się Prochnau. — Tfu, zimno się człowiekowi robi. Nabył by tego nie ścierpieli. Ja muszę czytać, zmrozić, gdy mijam takiego gada. Chciałoby się jego odwiek tym ba-

gnetem naszpikować. O, co za cholery!

Prochnau, garbarz warszawski, uciekł w związku z wykryciem kółła amatorów tepienia szpili. Był to silnie zbudowany mężczyzna, specjalista od łapania szczerk prowokatorów. Sama gestykulacja nie do brego nie wróżyła wrogom klasy robotniczej.

Do austriackich żandarmów, żył wem jednakowe z nim uczucia, ale tajemnik obryztał mi zagrancie na samym wstępie i cała nienawieść koncentrowała się teraz na spiej gębie z przyszytymi włosami. Na kanali, prowadzącej mnie do więzienia z miną bohatera narodowego. Toteż wyraziłem zdanie, że carscy szpicle są porządniejsi, bo wykonywują swe funkcje ze wstydem. Przytaknął nawet Prochnau, znawca stosunków. Wszystko u nas w Łodzi, Warszawie było lepsze; ku swemu zdziwieniu, górowaliśmy nad zagranicą. — Tu wam nikt nie ruszy palcem dla partii bez zapłaty — stwierdzała z obryzaniem Biała.

A inteligencja — dopełniał obrazu Galus — a panowie inteligenci w gębie tylko ma socjalizm, gdy trzeba robotniczo pomóc nie ma jej. Gumpłowicz dał mi łaskawie pięć koron zapomogli. Aha... zrozumiałem teraz odcień zakłopotania Gumpłowicza gdy się dowiedział z kim mają do czynienia. Doktor pozbył go się przy rozmowie, doktorowa zachowała je do mego wyjścia. Spojrzał na tustą rozlaną twarz Galusa z rybimi oczami ze wstytem graniczącym z nienawiścią. Odytuję wrocie uczucia z widzewskiej bielarni, ścisnąłem pięści do walki.

Co wam do socjalizmu — inteligencji?! Pilnujcie swego! Galus błysnął mściwie oczami w moją stronę.

— Mądrala, żeby nie swoi spadłby pod mostem a bronił ich. Abo się co uznaje albo nie. Abo socjalizm obowiązuje wszystkich, albo jest tylko pułapką dla głupich.

— Macie głupiego w pułapce! — wykrzyknął.

Galus błędąc z gniewu, zeskokczył z parapetu i z własnych osobowych zawias. Zerwałem się i ja natychmiast ze swego miejsca. Mogła się była wieczera skończyć jak wesele na Bałutach, lecz sprawę zażegnała Galska. Usadzone nas na swych miejscach i zaczęła się dyskusja bezadna o inteligencji, której wszyscy, z wyjątkiem Galusa, wyrażali raczej wdzięczność. Tak właśnie stawiał sprawę Biały:

— Nie są socjalistami? Niech sobie nie będą. My też nie jesteśmy! — Po trochu wszyscy się poprawiali. Grunt idea...

— Tak, tak, żeby nie to, byłbym już majtrem w Gostynińskiego a chodzę bez butów...”

— Andrzeju, nie jest znowu tak źle — próbowała go hamować Biała, będąca jednego zdania z nami, ale biorąc w obronę Galusa z wdzięcznością za okazaną jej szczególną opiekę w Łodzi po aresztowaniu męża, Galus, nie nie rozumiejąc w swej gruboskónej prostocie, zachowywał się jak awanturnik, nie proszony na zabawie. Nie można było odnaleźć kontaktu aby go włączyć do naszego grądu.

Robotniku, bracie miły, Jakże jesteś umęczony... Dola twoja, robotniku Praca i więzienna krata. Znoju, cierpienia masz bez liku, Ale dusza twa skrzydłata.

— Znoju, cierpienia masz bez liku, ale dusza twa skrzydłata — powtórzyła Galska wzruszona. — Jakież to piękne! Wyrażała ogólny zachwyt.

Zbliżała się dziesiąta. Opowiadał mi sobie rzewne wspomnienia z dzieciństwa, terminów, więzień i rozkładał „piernaty” do snu. Gospodyni z siedmioletnią córką spała na łóżku, gospodarz z gośćmi pokotem na podłodze, wymoszczoną słomą i wszelką odzieżą będącą w codziennym użyciu.

— Choroba! — zauważył Prochnau — używamy jak pasażerowie czwartej klasy w drodze do Ameryki.

— Znacznie dalej jedziemy — dopowiedziała cicho poetka.

LUCJAN RUDNICKI

